

№ 42 Warszawa, 17 października 1931r. 1zł. 50gr.

GABINETOWE
DAMES
PANI
ZŁOTA PANI



**JEJ ULUBIONY
LAPIEROS**

№ 42 Warszawa, 17 października 1931r. 1zł. 50gr.

BLUSZCZ



ER

DOBRA KSIĄŻKA JEST NAJMILSZYM
UROZMAIENIEM
DŁUGIEGO JESIENNEGO I ZIMOWEGO WIECZORU.

PRZYGOTOWALIŚMY DLA NASZYCH CZYTELNICZEK

8 TOMÓW

INTERESUJĄCYCH POWIEŚCI

ZA 6 ZŁOTYCH

A MIANOWICIE:

ANNIE VIVANTI

NAJA TRIPUDIANS

(ŻMIJA EGIPSKA)

C. CHIVAS-BARON

TRZY KOBIETY ANNAMICKIE

COLETTE YVER

RĄBEK ZASŁONY

(2 tomy)

DOUGLAS GOLDRING

POŁAWIACZ DUSZ

(2 tomy)

HUGH WALPOLE

JAREMKA I HAMLET

(2 tomy)

NAKŁADEM TOW. WYD. „BLUSZCZ”

DO NABYCIA — WARSZAWA, PL. ZAMKOWY 9. KONTO P.K.O. 13.555.

5...
1960 16 462/1

BLUSZCZ

Spółeczność Literacka Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 17 PAŹDZIERNIKA 1934 ROKU

NR. 42.

TREŚĆ NUMERU: Kobieta wobec kryzysu ekonomicznego — *Jadwiga Krawczyńska*. Zakładanie stowarzyszeń — *Zofja Dzieciolowska-Brykalska*. Zwycięstwo (dok.) — *Zofja Sikorska*. Poezje: „Marja” — *Lucyna Krzemieniecka*. Dziewczęta przed sądem (dok.) — *Wanda Woytowicz-Grabińska*. W Paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Już im rosną „skrzydłeczka” — *N. J.* Niezwykle tania nauka — *Józefa Gażyńska*. Z teatrów — *Herminja Naglerowa*. Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. W Berlinie na wystawie budowlanej — *J. Ginett-Wojnarowiczowa*. Dlaczego u nas ludzie trują się grzybami? — *Prof. Feliks Teodorowicz*. Pani pali — *Well*. „Larendogra” — *Pani Elżbieta*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Kolorowy dodatek „Mody i roboty”.

KOBIETA WOBEC KRYZYSU EKONOMICZNEGO

Małe niedole, czy wielki dramat.

Niby mucha uprzykrzona i natrętna, brzmi od miesięcy już w uszach wyrażenie, które stało się popularne: kryzys ekonomiczny.

Powtarzają je praczki w maglu i „piękne pannie” w salonach. Tylko akcent i ton ich słów brzmi inaczej.

Urzędniczka drży i płacze, niepewna, czy jej nie zredukują z posady. Ma na sumieniu największy w czasach obecnych grzech: jest mężatką. Przed kryzysem tego grzechu nie było. Wynaleziono go na użytek dnia.

Maturzystki nie chcą zdawać matury. — Poco? — krzywią się dziewczęta — skoro nic mi z tego nie przyjdzie? Posady nie dostanę. Przecież kryzys...

Pani ubrylantowanej mąż nie chce kupić jeszcze jednego pierścienia, jeszcze jednej kolji. Wymawia się kryzysem gospodarczym. „Nieszczęśliwa kobieta” traci doń serce, obmawia skąpca przed przyjaciółkami i przed fryzjerem...

Do gospodyni domu, jakich legjon, do zapracowanej matki rodziny, dochodzą okruchy dyskusyj i wiadomości z prasy. Ale to ją tylko irytuje. Konferencje finansowe w Londynie i Bazylei? Frazesy niezrozumiałe o redyskoncie, o parytecie, o wekslach gwarancyjnych. Co to wszystko ma wspólnego z jej codzienną niedolą?! A jeżeli ma coś wspólnego, jeśli istnieje jakiś związek przyczynowy między giełdą londyńską, zbożem kanadyjskim, krachem D-Banków, a jej kłopotami z węglem, opłatą szkolną za dzieci i utratą posady przez męża — to jest w tem

widocznie tylko jakaś potworna niesprawiedliwość... Kryzys ekonomiczny? Ona wie, co to jest: pustki w kieszeni, braki, niedojadanie, długi...

Tak rozmaicie przedstawia się kryzys ekonomiczny w zwierciadle niedoli kobiecych.

Jak doszło do tego światowego kryzysu, na czym on polega, jak wygląda gra finansjery i wielkiego przemysłu, dlaczego chwieją się podstawy najpotężniejszych państw — tego nieświadoma jest przeciętna kobieta, pogrążona w swych troskach kieszeniowych, udręczona brakami, niepewnością jutra swej rodziny.

A jednak one właśnie — te nieświadome ofiary — cierpią przedewszystkiem; te wielkie rzesze kobiece nie mają tu żadnego głosu, ignorowane przez wielkich polityków i ekonomistów. Stosunek mas kobiecych do przeżywanego kataklizmu, do wiszących w powietrzu olbrzymich, być może, przemian ustrojów gospodarczych świata, do zagadnień dziś najaktualniejszych — jest żaden.

Nie! — jest tylko jeden: dźwiganie straszliwego ciężaru dnia dzisiejszego.

Powie ktoś: „małe niedole kobiece”... Tak, ale w sumie urastają one do rozmiarów wielkiego dramatu świata kobiecego.

Jako konsumentka i jako producentka, kobieta ponosi dziś bolesne konsekwencje za błędy i niedole gospodarki wieków, za *miny niepopelnione*. Poprostu nie zdawała sobie sprawy ze skomplikowanej i potwornej maszyny gospodarczej świata współczesnego, do jej obrotu lub wykolejenia nie przyczyniła się świadomie. (Ale czyż to rozgrzesza?).

Była systematycznie odsuwana od udziału w rządach i w gospodarce publicznej, od wpływu i odpowiedzialności społecznej: dziś okazało się to jednym z tych nieuznawanych i lekceważonych błędów, które mszczą się na społeczeństwach.

Pominięcie tego potężnego liczebnie i bezpośrednio oddziałyującego na rynki konsumpcyjne i produkcyjne czynnika, jakim są masy kobiet, gospodyń i pracownic, niewątpliwie wprowadziło w rachuby ekonomiczne niepożądaną nierównowagę. Ta wielka masa, która pozostała poza obrębem planowej, świadomej współpracy gospodarczej, wywierała anarchiczny i przypadkowy w najlepszym razie wpływ — jak deszcz i pogoda na klimat i urodzaje — na gospodarkę społeczną.

Jeśli dziś możnaby oskarżać masy kobiece o szkody, wynikłe z ich złego gospodarowania, lekkomyślności i t. d., byłby to argument taki sam, jakgdyby zarzucano głuchoniememu, że nikt nie nauczył go mówić. I raczej należałoby — walcząc z kryzysem — pomyśleć o tem, *jak ulżyć kobiecie* w jej nadspodziewanie ciężkiej sytuacji, niż zrzucić na nią najdotkliwsze konsekwencje kryzysu.

Że istotnie — idąc po linii najmniejszego oporu — godzi się raczej w kobietę, niż się jej pomaga, że robi się z niej pierwszorzędną „ofiara kryzysu“ — nie jest to przesadne twierdzenie. Można na to odpowiedzieć, że kobiety pozwalają z siebie robić ofiary — i nie będzie to również pozbawione słuszności. Obrona ze strony samych kobiet jest bardzo słaba, ale na fakt ten składa się — jak w błędnem kole — wiele tych samych przyczyn, które decydują o nieobecności faktycznej kobiet w rządach i gospodarce publicznej.

Miljonowe masy konsumentek, jakeimi są gospodynie domu — niemal wszystkie dorosłe kobiety — uginają się pod nawałem trosk materialnych, pospolitej biedy, niewygód mieszkaniowych i technicznych. Często przytem zły nastrój moralny, psychoza otoczenia, snującego narzekania i niepokojące plotki, podrywa wiarę w skuteczność i celowość borykania się w codziennym kieracie domowym.

Prawie każda z tych kobiet walczy z kryzysem swego gospodarstwa w pojedynkę. Nie troszczą się o ich potrzeby gminy i magistraty. Ani o regulowanie cen na artykuły pierwszej potrzeby, o ułatwianie dostaw, o gatunki produktów, o mieszkaniowe i techniczne urządzenia, tani prąd elektryczny, gaz, wodociągi. Drożyzna tych urządzeń sprawia, że wraca się u nas do jaskiniowych metod w przeciętnych niezamożnych gospodarstwach domowych.

A jako producentki samodzielne, w warsztatach pracy, na roli i w hodowli, w przemyśle i rękodziele,

w handlu, jako pracownice umysłowe i fizyczne — kobiety stanowią dziś wielką falangę upośledzonych.

Robotnice fabryczne i rzemieślniczki cierpią bezrobocie. Straszliwa nędza sieje spustoszenie moralne. Nie mogąc znaleźć zarobku, całe masy kobiet rzucają się na ulicę, na pastwę poniżenia i upodlenia — chcą przeżyć, byle przetrzymać... aż będzie lepiej. Znane stosunki łódzkie, potwierdzone przez dokumenty i ankiety (nie tylko zresztą łódzkie), dają świadectwo tym tragicznym objawom, towarzyszącym kryzysowi.

Jakie zasady zastosowano u nas — i w niektórych innych państwach — do kobiet pracujących w instytucjach państwowych i komunalnych — jest rzeczą powszechnie znaną. Doraźne, na użytek dnia fabrykowane hasła redukcji, sprawiły, iż kobietę pracującą postawiono pod pręgierzem, *jako przestępczynię*, odpowiedzialną za pogłębianie kryzysu — swą pracą. Nie zadając sobie trudu zbadania, czy to nie zupełnie inne czynniki, niż praca zawodowa kobiet, są przyczyną klęsk gospodarczych, przyjęto zasadę, wręcz sprzeczną z uświęconą dotychczas moralnością społeczną: redukcję pracownic zamężnych. Owa „kara za małżeństwo“ zasiała ferment, który może mieć dalej idące skutki w praktyce.

A jednak — może „pogromcy kryzysu“ i liczyli na wytrzymałość i cierpliwość, wiekami wyrobioną żywiołu kobiecego? Postawa kobiet jest naogół zdumiewająco dzielna. Ileż wysiłków, by przystosować się do ciężkiej sytuacji, by ocalić warsztaty pracy, byt rodzin! Maleńkie wysiłki jednego domu, jednego ogniska rodzinnego, które są często tylko kołem męczeńskim kobiety, składają się w milionach na sumę, która dodatnio waży w życiu zbiorowym — waży na egzystencji całych gałęzi produkcji, na polityce gospodarczej i społecznej państw.

Waży jeszcze jeden czynnik: wartości duchowe i energia charakterów. Do jakich mocy są zdolne masy kobiece, te najszersze, te najskromniejsze, najbardziej szare? Do jakiej walki z wewnętrznym wrogiem, zniechęceniem i rozpaczą? Dać mogą wartości nieobliczalne, tak cenne, że na szalach polityki gospodarczo-społecznej należałoby je ważyć na wagę złota.

Idealizm i optymizm, siła płynięcia pod prąd mogą stać się dźwignią potężną, niczem nieopłaconym plussem społecznym. Lecz gdyby zawiodła w masach kobiecych owa moc odporu wewnętrznego, owa energia codziennego czynu? Czy daliby sobie radę wielcy z Warszawy, Londynu, Genewy, Bazylei?

Nie należy tego pomijać w rachubach, skoro od „ofiary kryzysu“ żąda się sił nadludzkich — niemal bohaterstwa.

Jadwiga Krawczyńska.



ZAKŁADANIE STOWARZYSZEŃ

SPOSÓB OBRADOWANIA

Wszelkie obrady, jakie się prowadzi na zjazdach, walnych zebraniach lub zebraniach zwyczajnych, na wiecach, na posiedzeniach naukowych — mają swój cel, do niego dojść muszą, są zatem pracą. I tylko z tej strony brać je należy, ze strony ich twórczej wartości, pomijając cele uboczne, jak chęć opisanego się wymową, własną ambicję i t. p.

Obrady — to zbiorowa praca prezydium i całego audytorjum; rezultat ich zależy tylko od odpowiedniego nastawienia psychicznego, które wytwarza pożądaną atmosferę, fluid, telepatję, sugestję, czyli... sprzyjające warunki, mniej lub więcej naukowo określone.

Aby zebranie było *legalne*, należy zainteresowanych zawiadomić w porę (najmniej na 4—5 dni przedtem) o terminie i miejscu zebrania. Zawiadomić można przez rozlepianie afiszów, lub przez ogłoszenia w piśmie, albo też przez pocztę, czy „kurendę“, t. j. przez gońca, który roznosi zawiadomienia, biorąc pokwitowania.

Prawomocne jest zebranie, zwołane w sposób zgodny ze statutem, przez osoby, mające do tego prawo; konieczna jest też odpowiednia ilość obecnych (quorum). Uchwały, niezgodne z prawem i statutem, powzięte nawet na prawomocnym zebraniu, nie są prawomocne.

Ponieważ prawomocność uchwał m. in. zależy od ilości osób zebranych, pożądana jest lista obecności i dopilnowanie, aby przed rozpoczęciem obrad wszyscy się na tej liście podpisali, dla obliczenia ilości zebranych.

W razie, jeżeli niema statutem przewidzianego quorum, t. j., jeśli niema na sali tylu osób, ile statut do uchwały danych spraw wymaga, zebranie odbyć się nie może (pod groźbą zarzutu nieprawomocności) i należy zwołać je w drugim terminie, np. w tydzień po pierwszym (zależy, jak to statut przewiduje). O ile jednak w zawiadomieniach zaznaczono, że drugi termin jest np. w pół godziny po pierwszym, należy przeczekać tylko te pół godziny. Zebranie w drugim terminie jest prawomocne przy każdej ilości osób.

Zebranie *zagaja* (otwiera) osoba, zwołująca zebranie, np. prezes stowarzyszenia. Wyraziwszy krótko cel zebrania, proponuje kogoś z obecnych (co zwykle jest zgóry umówione) na przewodniczącego. Jeżeli nikt się nie przeciwstawi i nie poda innej kandydatury, wówczas osoba proponowana przechodzi przez *aklamację*, t. j. zgodę powszechną. Obrany przewodniczący dziękuje za wybór, wygłasza parę słów okolicznościowych i proponuje skład prezydium, a więc swego zastępcę, sekretarzy, asesorów.

W razie wpłynięcia innych kandydatur, musi nastąpić głosowanie.

Gdy prezydium jest już ukonstytuowane, przewodniczący odczytuje porządek dzienny, który już wszyscy znają z zawiadomienia. Tu mogą nastąpić pewne zmiany w porządku, ale zasadniczo nie jest to wskazane.

Przystępuje się do właściwych obrad, t. j. do stawiania wniosków, dyskusji i głosowania. Jest to bardzo trudna praca dla przewodniczącego: musi być bezstronny, dbać o porządek na sali, o ścisłość przemówień; wnioski w formie odpowiedniej musi przedstawiać do głosowania, udzielać głosu mówcom, w razie potrzeby odbierać (gdy mówca odbiega od tematu, lub nieobyczajnie się wyraża), przyjmować wnioski *nagle* (dotyczące bieżących przemówień), lub wnioski *formalne* (dotyczące spraw formalno-porządkowych), a więc przewodniczący powinien przez cały czas z natężeniem śledzić tok obrad i nimi kierować.

Przewodniczący wymagać musi, aby wnioski *merytoryczne*, t. j. dotyczące porządku dziennego, czyli samej treści obrad, były składane na piśmie z podpisem wnioskodawcy. Po dyskusji, dotyczącej wniosku, należy raz jeszcze go odczytać i poddać głosowaniu. Wniosek, odrzucony przez zebranych, zarówno jak i cofnięty przez wnioskodawcę, głosowaniu nie podlega.

Głosowanie odbywa się przez podniesienie rąk, powstanie, zgrupowanie w dwóch stronach sali, lub też piśmiennie na rozdanych jednakowych kartkach. Ten ostatni sposób jest najściślejszy i godny zalecenia tam szczególnie, gdzie decydującą rzeczą dla wyniku jest tajność i gdy zachodzi obawa kwestjonowania wyniku (kartki można przechować w zaklejonej kopercie).

Na kartce każdy pisze jedno słowo: „za“ lub „przeciw“. Jeżeli głosowanie dotyczy wyborów, należy wypisać nazwiska. Kartka, na której jest nazwisk więcej, niż wymaga się kandydatów, zostaje unieważniona, jeśli mniej — jest ważna. Kartki wrzuca się do przygotowanej skrzynki lub pudełka; dwóch asesorów przystępuje do obliczania głosów. Jeden z nich czyta, drugi sprawdza i odpowiednio segreguje. Po przeliczeniu, sekretarz notuje wyniki, a przewodniczący je ogłasza.

Jeżeli wpłynęły dwa wnioski wzajemnie się znośzące, wówczas przegłosowanie jednego zwalnia od głosowania na drugi.

Ilość głosów, potrzebna do uchwały bywa różna, często statutem przewidziana. Potrzebna jest *większość*. Większość może być *zwyczajna*, gdy ilość głosujących za wnioskiem jest większa choćby o 1 od liczby głosujących przeciw; jeśli jest równa — przeważa głos przewodniczącego; nie bierze się tu pod uwagę ilości obecnych, a tylko głosujących, bez wzię-

du na wstrzymujących się od głosowania. Większość *absolutna*, gdy „za“ wypowiada się więcej niż połowa obecnych. Większość kwalifikowana zależy od statutu, on ją określa, jako $\frac{1}{3}$, $\frac{2}{3}$ i t. d. *Zgoda poroszechna* (aklamacja) oznacza jednomysłność.

Votum separatum zgłasza jednostka lub mniejszość przegłosowana, dla zaznaczenia swego odrębnego stanowiska i umieszczenia tego w protokóle, co ma znaczenie raczej formalne, taktyczne.

Głosu w „*sprawie osobistej*“ przewodniczący powinien udzielić, jeżeli chodzi o ważną, choć osobistą, sprawę (np. o honor danej osoby, obrażonej przez mówcę); musi jednak dbać o to, by przemówienie dotyczyło rzeczywiście tylko tej kwestji i nie miało charakteru napastliwego.

Po wyczerpaniu obrad właściwych, przystępuje się do wolnych wniosków, zgłoszonych albo na parę dni przed zebraniem, albo przed samemi obradami, lub ostatecznie po obradach. Jeżeli wniosek ma znaczenie doniosłe, uczestnicy, na propozycję przewodniczącego, mogą przenieść go na porządek dzienny zebrania następnego, co jest pożądane ze względu na zmęczenie obecnych. Inne wnioski załatwia się odrazu.

Po omówieniu wolnych wniosków przewodniczący zamyka posiedzenie krótkim przemówieniem okolicznościowym, dziękując zebrany, krótko streszczając nawet zapadłe uchwały.

Obowiązki przewodniczącego sprowadzają się

do kierowania obradami, przestrzegania porządku i bezstronnego stanowiska wobec różnorodnych zagadnień. Przewodniczący powinien mówić rzeczowo, krótko i tylko to, co jest niezbędne.

Obowiązkiem sekretarza jest notować wszystko, co jest ważne, następnie protokół podpisać i dać do podpisu przewodniczącemu. Protokół powinien być odczytany na początku następnego zebrania.

Obowiązkiem zastępcy jest podsuwanie przewodniczącemu wniosków, segregowanie ich, w razie potrzeby objęcie przewodnictwa.

Asesorowie obowiązani są uważać na przebieg obrad, obliczać głosy i t. d.

Rezultat obrad w głównej mierze zależy od sprawności prezydjum. Obrady nie powinny być długie, muszą jednak wyczerpać przedmiot.

Demoralizujący wpływ na audytorjum wywiera niezdecydowanie, chwiejność przewodniczącego, lub też zbyt duża jego gadatliwość i narzucanie zdania.

I zebrani, i przewodniczący powinni jasno zdyktować sobie sprawę, poco przyszli, i zdecydowanie do tego celu dążyć. Przy takim ustosunkowaniu się do treści obrad, cel zostanie osiągnięty i uniknie się tego, co jest plagą wielu zebrań: wrażenie chaosu, poczucie straty czasu, żal do prezydjum, ostateczne zmęczenie.

Obrady są pracą — jako takie, powinny każdemu zapewniać radość tworzenia.

Zofja Dzieciotomska-Brykalska.

Z W Y C I Ę S T W O

3)

Z trudem wydarli się gościnności plebanji i ruszyli w powrotną drogę. Zjechali z szosy i zagłębili się w lasy, gdy zaterkotał motocykl i, minawszy ich w szalonym pędzie, zatrzymał się o kilkaset kroków dalej. Ktoś zeskoczył z siodełka i zbliżał się szybko.

Joanna widziała zrazu strzelistą, smukłą postać w skórzanej kurtce, a potem tuż koło siebie wychylającą się z otoki brązowej czapki, szczupłą twarz.

— Jestem Radlińska. To pani z leśniczówki? Co Jerzy? Czy był doktor? Osłabiony bardzo? Czy przytomny?

I z rozwartemi szeroko oczami:

— Niema niebezpieczeństwa?

Po otrzymaniu odpowiedzi:

— Pojedziemy razem, jeżeli pani chce być prędzej w domu. Proszę usiąść za mną na siodełku. Trochę będzie pani niewygodnie.

Joanna widziała teraz tylko płaszczyznę pochylonych ku przodowi pleców. Nie czuła pędu, ani podrzućać po korzenistej drodze. Całą uwagę ześrodkowała na jasnym, przezroczystym, powiewającym loczku, który wyłaniał się z pod czapki panny Ewy.

Mówiła skrycie.

— Nie pędź tak nieprzytomnie. Nie bój się. Żyje. I będzie żył. Będzie żył dla ciebie. Słyszysz? Te blade, bezsilne usta staną się znów czerwone i będą całowały twoje. Twoje. Będziesz w jego pokoju cały dzień. Będziesz mu przewijała bandaż. Będzie patrzył na ciebie z pod białej opaski. Będziesz mogła wodzić palcami po jego ciemnych, jedwabistych brwiach. Ty, Ewuniu, Ewuniu.

— Przyjechała Ewunia! — uradował się Stanisław, gdy przed gankiem parsknął, ryknął i zafurkotał motorek.

— Przyjechałaś, Ewuniu, najmilsza! — wołała Ela. — Chodźże, chodź prędzej, bo Jerzy wyskoczy z łózka.

Witali się, cieszyli się sobie i poszli śpiesznie w głąb domu w gwarze pytań i odpowiedzi, opowiadań, okrzyków i całusów.

Joanna powłokła się do lasu.

Bo któż może cieszyć się opuszczeniu, kto może się bólowi radować!

Czemużeś mnie nawiedziła, drapieżna, niszczy-

cielska siła? Czemu nie mogę zrzucić ciężaru z piersi? Czemu idę bezsilna?

V.

Nadszedł dzień drugi, a pierwszy poranek nieszczęścia i pierwsze przebudzenie się w bólu. Był różowy, uśmiechnięty, wonny, jak wczoraj, jak przed tygodniem. Czarna Woda lśniła w słońcu i kryształowo przezroczysta ukazywała na dnie gładkiem i twardym białe muszelki. Ewunia była przyjacielska, wesoła i dokazywała w kąpielu, jak dziecko. Ważki, błękitne świtezianki, zwiewne duszki wód niepokalanych migotały w płasach.

W domu zdarzenia potoczyły się zwykłą, naturalną koleją.

Śniadania, obiady, kolacje, suszenie grzybów, smażenie konfitur, karmienie indycząt, kłopoty i troski Eluni, wskazówki Ewy.

— Nauczę was przyrządzać kompot witaminowy.

Trudno było pojąć, jak mogą istnieć obok siebie:

...zupa szczawiowa, upstrzona żółtobiałymi krążkami jajka, i rozpacz,

...rozmowa wczorajsza, dzisiejsza, jutrzejsza:

— Skarżyła się Langowska na klucie w boku. Kazałam się jej położyć. Ale czy Antosia z Walkiem wydołają wszystkiemu? —

i groza, tamująca oddech. Że przecież Ewunia jest mu najmilsza!

...ucisk, gniotący serce aż do ziemi, i spokojna twarz, uśmiechnięte usta, codzienna krzątanina.

...wieczna czujność bólu i okrutna niewiedza ludzi.

Bo w chwili nieszczęścia nikt nie może stanąć dostatecznie blisko serca, ogarniętego boleścią. Każdy je zrani.

— Zagraj, Joasiu. Jerzy cię prosi — powiedziała wieczorem Elunia.

O, dolo, dolo!

Grać, aby im słodsze były chwile. Grać, aby słowa były cichsze i coraz bardziej niepotrzebne. Grać

im na szczęście, na ukojenie, nasnuwać im drzeń nieuchwytnych do piersi...

O, dolo...

Dla nich zdradziecka woń maciejki, dla nich szmery lasu, dla nich twoja muzyka, Joanno!

Nadszedł dzień trzeci.

— Jestem spokojna i pełna rezygnacji, a więc nie powinnam cierpieć. Ale, o Boże, inny jest smak radości, a inny wyrzeczenia.

Minął tydzień.

— Nie chcę być zrezygnowana — szarpała się Joanna — pragnę szczęścia. Szczęście jest bujne, mocne, zuchwale i twórcze. Rezygnacja—blada i nieśmiała, słaba i chwiejna. Nie potrafi być bodźcem mocnego czynu. Nie zgadzam się na nią. Muszę przecież budować!

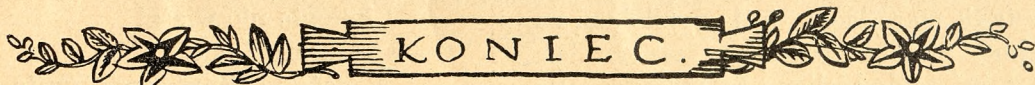
Słońce staczało się za linię horyzontu, gdy Joanna stanęła na skraju szkółki Jerzego. Chwilę patrzyła pod zachód, na jaśniejące złotem niebo, potem usiadła w głębokiej bródzcie, dzielącej zagajniczek od drogi. Cykały w trawie niewidzialne koniki polne. Pod takt ich piosenki myśli układały się równo, jak skiby oranej ziemi.

— Błogosławiona jest gorycz nieszczęścia. Dobry jest jej cierpki i ostry smak piołunowy. Czuję ją w sobie, jak drzewo czuje soki, krążące na wiosnę. Pełne mam jej usta. Lecz się nią nie strulam. Nie stało się nic złego. Żyję. Oddycham. Za każdym oddechem wciągam balsam żywicy. Widzę niebo. Czuję dłonią szorstkość leśnej ściółki. Jak pachnie ten mały pierzasty goździk! Witam cię, goździku, i ciebie, czerwona, nakrapiana biedronko. Witam cię, przyszły lesie Jerzego.

— Nie jestem uboższą, niż byłam. Przeciwnie. Widzę jaśniej, czuję mocniej i wyraziściej. Kocham goręcej. Nie lękam się cierpienia. Nie padam pod niem. Czuję jego niezłomną, pobudzającą, surową potęgę.

I z ziemi podniosła się Joanna Zwycięska.

Zofja Sikorska.



LUCYNA KRZEMIENIECKA.

M A R J A

*Dom jest pełen cichych kroków Marji,
dom jest pełen jej porannej pracy.
Codzień wieczór przychodzą rybacy,
patrzają na nią, chłoną w siebie czar jej.
Oczy Marji są morskie, otchłanne,
smutek dojrzysz w nich tylko i ciszę.
Siedzi milcząc, haftuje na kanwie
mały kilim nad łóżko, na stryszek.*

*Drobne ściegi na kanwie wciąż płyną,
aniołowie wnet skrzydła rozwiną.
Skrzydła złote i oczy, jak złoto,
w niebo z kanwy się wzniosą z tęsknotą.
Ciężko siedzą na ławach rybacy,
patrzają w ręce swe grube, żylaste —
W oczach mają wielkie morza przebyte,
w sercach mają dziro odmieczny — niewiastę.*

DZIEWCZĘTA PRZED SĄDEM

2)

Ledwie drzwi się zamknęły, a tu znów — zatrzymana. Tym razem przez policję.

Wysoka, smukła dziewczyna. Jasne włosy, żywe niebieskie oczy.

Ta nie czeka nawet, aż ją zapytają. Wprowadzona na salę, wybucha odrazu lawiną słów.

— Za niewinność jestem tu przyprowadzona, proszę Sądu. Za niewinność i bez złoć. Czego ona jenszych dziewczyn nie oskarżyła, tylko mnie? Tak się do mnie przypięła, jak osa.

— Poczekaj, wolniej; ile masz lat?

— Czternaście.

— Skądże się tu wzięłaś w Warszawie?

— Jakto, skąd? Wiadomo: ze Zduńskiej Woli.

— POCOś tu przyjechała?

— Jakto, poco? na służbę!

I płynnie obfite tłumaczenie.

Że ojciec jest stary i chory, a matki Tekla nie pamięta. Żywili ją starsi bracia. Mieli trzy morgi gruntu. Pożenili się. Ona wciąż była mała i wciąż chodziła za bydłem. Chodziła głodna i obdarta. Nic za to nie miała. Bratowe nie lubiły jej. Biły ją, dokuczały. Raz przyjechała na wieś dziewczyna z miasta w odwiedzinny do krewnych. Była ładnie ubrana i chwaliła sobie. Bratowe skarżyły się na Teklę. Wtedy ta dziewczyna poradziła, żeby Teklę oddać na służbę „do dzieci“, to wyjdzie „na ludzi“. No i ta dziewczyna przywiozła ją do miasta i oddała w to miejsce, gdzie ją ta pani posadziła.

— Posadziła? Słuchaj, Tekla. Oskarżona jesteś o kradzież stu złotych, dalej o kradzież pantofli, torebki, broszki, bielizny, palta i to wszystko zostało przy tobie znalezione, oprócz pieniędzy. Przyznajesz się do tego?

— Co się mam przyznać? to wszystko kłamstwo! Palto to ona sama mi dała do chodzenia, bo swego nie miałam, przyjechałam tu w lecie w jednej sukience. Pantofle to były takie stare łachy, to ja myślałam, co jej to niepotrzebne, torebkę to brałam zawsze jak szłam do miasta, a już co do bielizny, to kłamstwo, bo pani sama powiedziała, że jak się dobrze zasłużę, to mi kupi dwie koszule, więc, jak mi nie kupiła, to sobie sama wzięłam z prania.

— A dlaczegoż się porzuciła samowolnie tę służbę i odeszłaś, nie uprzedzając nikogo? Jeszcze drzwi zostawiłaś otwarte...

— Bo mi się sprzykrzyło. I za ciężko mi było. I ona mnie nigdzie nie puszczała. A to pierz, a to praszuj... To koleżanka mię namówiła, żebym tak zrobiła... A co drzwi, to nie mogłam ich zamknąć, bo się zamykało od środka.

— Aha... Słuchaj, Tekla, chodziłaś ty kiedy do szkoły?

— A jakże, do pierwszego oddziału.

— Tylko do pierwszego?

— Ano tak, bo późni mnie wzięni do roboty.

— A czytać i pisać umiesz?

— Litery to znalazłam, ale zapomniałam.

— A liczyć?

— O, liczyć to ja umiem!

— No dobrze. To powiedz mi, ile jest 6 pomnożone przez 5?

Długa pauza.

— 20! — zgaduje wreszcie Tekla.

— A 2×4 ?

— Sześć!

— Hm... Powiedz mi jeszcze, Tekla, czy ty rozumiesz, dlaczego kraść nie wolno?

Znowu długą pauza.

— Rozumiem, bo policja zabrania.

— A gdyby nie zabraniała?

Milczenie. Wreszcie:

— Ja tam nie wiem...

— A przynajże mi się szczerze, czy na wsi było tak, żebyś ty kiedy coś komu zabrała?

— Nie.

— A jabłek z cudzego ogrodu nigdy nie brałaś?

— E... co tam jabłka... To się nie liczy.

— A co się liczy? Pantofle się liczą, czy nie?

— To poco mi wychodzić wieczorem nie pozwalała!? Tak, przyznaje się: wzięłam jej wszystko przez złoć!

— I cóżeś zrobiła z temi rzeczami?

— Wszystko mam na sobie.

— A pieniądze?

— Pieniądze to dałam na przechowanie narzeczonemu.

— Jakiemu narzeczonemu?

— No, jakiemu? swojemu!

— Jakże się on nazywa, gdzie mieszka?

— Tego to ja nie wiem.

— I imienia nie wiesz?

— Owszem: Kazio.

— A może koleżanka wie, co to za jeden?

— Kiedy ta koleżanka, to właśnie Kazio; tylko ja tak z początku powiedziałam, że to koleżanka...

— Aha! Słuchaj, Tekla, a rodziny żadnej tu nie masz, ani dobrych znajomych, starszych ludzi?

— Nie.

— No to pójdiesz na oddział dla nieletnich, do więzienia, bo na ulicy zostać nie możesz, a za tydzień będzie sprawa i wszystko się wyjaśni.

— Co? Ja do więzienia? Za te pantofle?

— Nie, narazie tylko dlatego, że nie ma tu kto wziąć cię pod swoją opiekę, odpowiedzialny dozór. A później zobaczymy.

Taki to jest kłopot z temi dziewczętami ze wsi. Nietylko niema komu powierzyć ich do czasu sprawy.

ale również trudno jest sprawdzić dane o ich pochodzeniu i stosunkach rodzinnych. Trzeba dopiero pisać do gminy i długo czekać na odpowiedź. A później, o ile ustalili się, że dziewczyna jest naprawdę sierotą, albo naprawdę nie ma ani po co, ani do kogo wracać na wieś — stajemy znowu przed trudnością umieszczenia jej w zakładzie z powodu braku praw do opieki społecznej na terenie miasta!

Z urzędu zaś Sąd nie może umieścić jej w domu wychowawczo-poprawczym z tej prostej przyczyny, że go niema, a dziewczęta w razie skazania odbywają kary tylko w specjalnych oddziałach dla nieletnich w więzieniach. Jest to więc środek ostateczny.

W tych warunkach *wieś* powinna zrozumieć, że wysyłanie młodych, niedoświadczonych dziewcząt do miasta — to kierowanie ich na pewną zgubę. Ratunek zaś jest rzadki.

Ot np. od czasu do czasu otrzymujemy zgłoszenia od pań ze dworów, że chcą ulżyć nam w pracy i wziąć taką dziewczynę na pewien czas, żeby wyrosła w lepszych warunkach i nauczyła się wszystkiego, co potrzebne jej będzie na gospodarstwie i własnym, i cudzem. Serce nam wtedy taje z radości i czempędzej wyprawiamy tam którąś z naszych utrapień. Rezultaty są czasem wspaniałe.

Naprzykład — Hanka. Sprowadzili ją do sądu brudną i obdartą. Miała lat 15. Uciekła od ojczyma ze wsi. Zatrzymano ją z powodu braku papierów. Nie pomogły perswazje.

— Nie wrócę do ojczyma — płakała — bije mnie, niedobry jest! wolę się rzucić do rzeki!

Na szczęście, miałam wówczas takie cudowne zgłoszenie. Ekspedjuję tam małą. Zapominam o niej.

Po dwóch latach melduje się do mnie jakaś dziewczyna. Wchodzi, wita się układnie. Ładna, jak malowanka, ubrana czyściutko, twarz pogodna i jasna.

— Pani mnie nie poznaje? To ja, Hanka, co mnie tu dwa lata temu sprowadzili i tak płakałam.

— Cóż się z tobą działo?

— Wtedy to mnie Sąd oddał do tej pani na wieś. Jak mnie tam było dobrze! Z początku to nic nie robiłam, tylko chodziłam za tą panią i wszystkiemu się przyglądałam. A później zaczęłam potrochu zajmować się wszystkim. A jakie tam gospodarstwo! aż miło! ręce same koło niego latają... A teraz jestem pomocnicą gospodyni!

— A u rodziny byłaś kiedy?

— Właśnie stamtąd wracam. Dostałam urlop i pojechałam do domu zrobić porządek. Niby z ojczymem. Bo przecież tam zostało moje rodzeństwo: młodsza siostra i braciszek. I właśnie dlatego przyszedłam do pani, do Sądu. Proszę pani, czy jest jaka kara, jak kto dzieci nie posyła do szkoły?

— Ajakże! grzywnę mu naznaczą.

— Bo ten mój ojczym, to dzieciom nie pozwala się uczyć! Zagnał je do roboty, oddał sąsiadowi na wyrobek. Jak przyjechałam, jak zobaczyłam! Jak go nie skrzyczę! Oh, myślałam, że mu kości połamię!

— A ty sama umiesz teraz czytać?

— Ajakże i pisać też. Ja teraz jestem zupełnie inna, proszę pani, już teraz nie zginę...

— No, bardzo się cieszę. A do miasta już nie uciekasz?

— Do miasta? Umarłabym tu chyba wśród tych murów! To dawniej byłam taka głupia. No, i nie chciałam być w domu. A co mnie wypędziło? Czy nie miałam co jeść? nie! Tylko nie lubię, jak mną kto pomiała! Ja jestem taka, że oprócz chleba potrzebne mi jest serce ludzkie. I to serce mię uratowało.

Tak! Miała rację!

Oby tych serc było jaknajwięcej.

Wanda Woytowicz-Grabińska

W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

Odszedł poeta...

Rano, razem z pieczywem i mlekiem, służąca przyniosła gazety. Zofja je otworzyła, jak co dnia, szukając dla swych czytelników ciekawych nowin. Oczy jej znalazły bolesną dla siebie wiadomość... Umarł poeta... Odszedł Alfred de Musset.

W maju, cudnie pięknym miesiącu róż i bżów. Gdy kwietne rozścielają się gobeliny, gdy w pachnących krzakach zamknięte śpiewają słowiki, gdy w Tui-lerjach kwitną drzewa pomarańczowe, a w lasku Bu-łońskim konwalje — odszedł ten, którego poezja miała swój własny kwiat, własny zapach i własny wydała owoc. Owoce gorzkich nieraz przeżyć, dla świata puchem wiosennym osypany.

Wyobraźnia panią mu była, nie sługą. Wiersze jego płynęły z tegoż źródła, co życie: raz brylantowe, raz mętne, raz krwawe. Muza jego nie była aniołem, Sybillą boginią, tylko nerwową, namiętą, piękną ko-

biętą, do szaleństwa wesolą, lub śmiertelnie smutną, błyszczącą łzami, albo też dowcipem. To też poezja jego podobała się, jak wybranka, w której kapryсах i niedostatkach dostrzega się powab.

Zofja przypomniała sobie widzianą przypadkiem twarz Musseta; twarz, podobną do pobojuwiska — bladą, zwiędłą, smutną. Tak wyglądał najszałeński, najkolorowszy, najgadatliwszy jeszcze niedawno poeta Młodej Francji. Czarę, którą inni sącą kropla po kropli, on duszkiem wychylił.

Znikł ze świata kochanek wszystkich kobiet — pozostanie wieczna młodość jego poezji...

Choć za trumną jego poszli Akademicy. Poważne grono sędziwych otoczyło karawan biednych, którzy wolno posuwał się do kościoła św. Rocha. Księża, nie zgłębiając ortodoksji autora Rolli, przyjęli zmarłego ze zwykłą wystawą. Może sądzili, że karty, któ-



Théophile Gautier. — Balzac i Teofil Gautier u Fryderyka Lemaitre'a.

rych nie mogli przebaczyć ludzkie — Bóg mu przebaczy, widząc, jak wiele cierpiał. Na Sądzie Ostatecznym odkryta będzie prawda ostateczna. Zofja, myśląc o nim, wiedziała i o sobie, iż są melancholje skryte, są nieuleczalne rozpacz, które tajemnica serca unosi do grobu, a rozjaśniłyby one wiele rzeczy, gdyby były wiadome.

Śmierć Musseta — to nietylko jego ze światem pożegnanie, ale jednocześnie koniec poezji romantycznej.

Zofja żywo odczuła tę chwilę, była ona bowiem z pokolenia — a może z ludzi wiecznych? — którzy poezji nie czytają oczami, ale sercem. Poeci polscy, francuscy, włoscy, czy niemieccy stali się jej bliscy duchem, w każdej chwili życia z nimi się łączyła i niejednokrotnie ich słowami myślała. Choć nieraz to sobie gorzko wyrzucała: Czas byłoby, jeżeli nie wielbić, to ocenić ludzi nie słonecznych, lecz użytecznych, ulepionych z tejże, co my, gliny, żyjących naszym życiem, którzy ani błędem, ani cnotą nie są wyżsi od ludzkości, tylko od niej mocniejsi wytrwaniem. Przez nich to praca postępu się dokonywa.

Dawniej czytowane dzieła wielkich twórców, dziś czytane poraz drugi, wita, jak echo tamtych czasów. Tak przyjęła nowe wydanie pierwszych poezyj Wiktora Hugo, boga swej z Feliksem młodości, niedawno para Francji, obecnie z ojczyzny swej banitę, za niepoprawnego gorszyciela niewiniątek uznanego. Jak każdy, kto piękność życia już przeżył, miała sentyment do rzeczy minionych i większą dla dzieł dawnych, niż dzisiejszych, pobłażliwość. Od czasu Hernaniego, pod pozorem prostoty, karmią nas samą tylko wodnistą paszą, wodnistym mlekiem i wymłóconą słomą — uważała.

Źle się z francuską poezją dzieje! kto został?

Czułomodny poeta. Lamartine.

Teofil Gautier, otyły sybaryta, więcej dowcipu, aniżeli włosów na głowie posiadający, który lubi koty, jak Mahomet, a niemniej od nich kobiety. Na pierwszą reprezentację Hernaniego w Comédie Française czerwona — bojowa — kamizelkę wdziawszy, nosi ją całe życie. Ale ten Benvenuto frazy już nawet snów

haszyszowych mieć nie może, tak jest zabity pracą dziennikarską. Tylko czasem zjawi się jakiś jego złotousty feljeton, brylantowe sprawozdanie, tęcza na ołowianym horyzoncie literatury.

Odszedł ze świata dobrowolnie Gérard de Nerval, najgłębszy myśliciel, najgorętsza dusza, nieszczęśliwy autor książki o dziwnym tytule: „Aurelja czyli sen i życie“. Wielu zresztą pisze wiersze, ale dlatego tylko formę wiążaną obrali, iż — jak żartował Wolter — nie mają nic do powiedzenia.

A z prozaików kto dziś króluje? Jak Scribe był królem episjów, tak Dumas drugi, w ojczyźnie blagi, królem blagi obwołany. Coprawda, chwytą on udatnie charakter swego pokolenia. Na „Półświatek“ dobry ojciec córki swej nie zaprowadzi, ale syna, gdy lat dwudziestu dosięgnie, winien zaprowadzić.

A najmłodszy? Bracia Goncourtowie kuchenne dają Messaliny; Gustaw Flaubert bezwstydnie rozbiera i ubiera kobietę. Zapominając, iż naga, czysta jest i skromniejsza, aniżeli ta, która przed chwilą szaty zdjęła i za chwilę znów je włoży.

Oni to mają powodzenie, oni są szczęśliwymi wybrańcami losu. Szczęście w literaturze nie jest niczem innym, tylko tajemniczą harmonją z duchem czasu, ludźmi i obyczajami. Genjusze niekiedy tylko przychodzą na świat — za wcześnie, lub za późno.

Niema już Balzaka — był to genjusz skomplikowany, jak labirynt, zawily, jak las dziewiczy, strojny, jak świątynia koryncka. Umarł, a z nim umarły jego dzieła. Co dziś wyobraża taki Vautrin, gdzie Rastanjaki i Nuncingeny?

Ten największy znawca serca ludzkiego za wzór brał jednostki, nie ludzkość. Postacie jego nie są na wyrost robione. Comédie Humaine — ta — skończona, grać zaczynają nową. O wielkim pisarzu mówi się już tylko wedle Ludwika Gozła: „Balzac en pantoufles“.

Ale ślad swój zostawił w pracach innych, którzy poszli jego torem, doprowadzając do ostateczności genjalny na świat dzisiejszy pogląd. Balzak pogoń za ukochaną zastąpił pogoń za pieniądzem, a honor do-

brym zastąpił interesem. A dziś — jedno wiadomo: „Au fond de chaque chose il y a de l'argent. C'est triste, mais c'est comme cela!“. Świątynią epoki stała się Giełda, o grze i spekulacji wydają podręczniki, na temat żądzy złota tworzą sztuki. Na przedstawieniu „Bursy“ Ponsarda był Cesarz... Listownie potem podziękował autorowi za dedykowany mu egzemplarz, listownie, bo autor nie raczył pokazać się na premjerze, choć bilety wykupiono na miesiąc przedtem. Jaki czas, tacy ludzie i taki rodzaj chwały!

Choć dotąd nazywa się, iż teatr jest szkołą obyczajową. Coprawda, sztuki pisze się na miarę aktorów. Jeśli, silniejszą nutę czasem uderzy, to zazwyczaj się zdarza jedynie wówczas, gdy jakaś wielka artystka, której w ramach obecnej twórczości ciasno, powraca do rzeczy dawnych. Nieraz bardzo dawnych.

Paryż tego nie lubi. Wszystko tu znajdzie amatora i kupca — prócz greckiej sztuki, która upajała Zofję. Odżegnuje się od morza, ognia i tragedji, mówiąc, że nikogo nie obchodzi bohaterka, nie nosząca krynoliny. Więcej patrijota, niż artysta, woła: byle nie cudze piękno podziwiać mi kazano!

Zofja ogromnie się uradowała, gdy afisze doniosły, iż Ristori wystąpi w „Fedrze“. W roli bohaterki Racina widziała już kiedyś wielką Rachel, ale jakaż między temi dwiema odtwórczyniami przepaść!

Różne bowiem bardzo posiadał kształty grecki posąg w wieku XVII-ym, wieku wielkich namiętności, ze starożytnego wzniesiony materiału przez francuskiego poetę — ożywiony przez dwie największe artystki dramatyczne wieku XIX-go.

Cały Paryż biegł na włoskie przedstawienia, szukając w jednej cienia drugiej, porównując, karząc i krytykując.

Zofji wydawało się, jakoby Rachel złościła dółtem Fidjasza, Ristori zaś jaskrawo malowała — własnym pendzlem. Fedra-Rachel, w paljowo złoistych drapejach, trawiona kazirodczą miłością, słowo zamienia w westchnienie; w szkarłatach—Fedra-Ristori—słowo



Teofil Gautier według karykatury Eugenjusza Giraud.

w krzyk zamienia. W melancholji pierwszej duch i ciało udział biorą; druga — Bachantka, odpoczywająca na tygryziej skórze. Ogień płonie pod przejrzywą zasłoną, której nikt zedrzyć nie jest zdolny; szalona córka południa szatę swą każdej chwili odrzucić może... Cała sala, z niepokojem i obawą, czekała na ten gest Putyfarowej.

Nieszczęśliwa cnota — piękna jęzda; przytłumiony smutek zranionej kobiecej godności — wściekły bunt królowej, schwytej na gorącym uczynku zbrodni. Niedobra miłość dla jednej — to hańba i niesława; niedobra miłość dla drugiej — to piekło żądz niezaspokojonych.

Trwożne wyznanie Rachel idzie oględnie, cofa się w obawie, żeby nie zranić ukochanego. Wybucho dopiero wówczas, gdy o zbyt wielką potracono dumę.

Ristori ukośne rzuca spojrzenia i ukośne usta ciskają błyskawice. Podstępnie rozsnutą siecią słodkiego słowa wciąga Hipolita w półcień, gdzie rysy jego zlewają się z rysami ojca — jej męża. Wzgardzona — w panterę krwiożerczą się zamienia.

Wymowa Rachel chyżym potokiem bieży wśród wierszy, rytmu ich nie gubiąc i głąb ich wydobywając. Rozkochana w zewnętrznej piękności, Ristori upaja się melodją swego głosu i pieści gorącemi, jak trawiący ją ogień, barwami.

Każda epoka inaczej przeżywa każdą tragedję i odmłodzić ją pragnie. Jakże inna dziś jest Fedra w niezmiennej postaci Odeonu, a Fedra teatru awangardowego!... Jakby ten sam autor dwa napisał dzieła! A może dwóch autorów tenże sam poruszyło temat? A to pewno wciąż inne, choćby tej samej osoby, oczy patrzyły...

Aura Wyleżyńska.



Bertall: Portret Balzac'a.



P. Danuta Sikorzanka.

JUŻ IM ROSNĄ „SKRZYDŁECZKA“

„Gdybym ci ja miała skrzydlecza, jak gąska,
poleciałabym ja za Jaskiem do Śląska!...“



P. Wanda Olszewska.

Pamiętacie panie tę naiwną piosenkę Zbyszko-
wej Danusi z „Krzyżaków“?

Śpiewkę tęsknot najprzeróżniejszych, bo i miłość,
i pragnienie swobody, i ciekawość krajów dalekich,
i marzenia o spełnieniu niemożliwego.

Pół tysiąca lat temu chciała mieć „skrzydlecza“
Danusia Jurandówna; ileż po niej o tem myślało! Aż
spełniło się marzenie.

Można już lecieć na skrzydłach i do Śląska, i od
Śląska, i naokoło Polski.

Ale właśnie Śląsk, jedna kresowa dzielnica za-
chodnia, razem z drugą kresową, wschodnią strażni-
cą, Lwowem, połączyły się w organizacji pierwszego,
kobiecego raidu lotniczego.

Aż trudno było uwierzyć, bo już od paru lat cią-
gle mówiło się i pisało: dlaczego tylko angielski, ame-
rykański, niemiecki, francuski, a polski jeszcze nie latają?

Szkoliły się jakoby pilotki w aeroklubie war-
szawskim, jakieś wieści dochodziły ze Lwowa, ale re-
zultatów nie widzieliśmy.

Aż pewnego pięknego dnia wiadomość od Śląs-
kiego Komitetu L. O. P. P., pewna, konkretna: raid
naokoło Polski, startują 1 października dwie lwo-
wianki, pilotki i dwie obserwatorki ślązaczki! Podwój-
na radość: raz, że

nareszcie lecą pol-
skie lotniczki, na
polskich maszynach;
drugi, że spełniło się
to, do czego się tak
gorąco oddawna na-
woływało.

Nie jest to wea-
le zarozumiałość, że-
by artykuły jakiejś
publicystki wywoła-
ły, czy przyspieszy-
ły ten fakt, ale do-
bre wrażenie, że wy-
czuło się i ujawniło
jedną z potrzeb
chwili.

Już od począt-
ku sygnalizowano
powodzenie i nad
wyrąz serdeczne
przyjęcie lotniczek
na pierwszych eta-
pach raidu (plan ie-
go podaliśmy w osta-
tnim numerze „Blu-
szczy“); naszedł wre-
szcie dzień zapowie-

dzianego przylotu do Warszawy. Niestety, tego dnia
nie przyleciały: mgła była tak gęsta, że na kilkanaście
metrów nic nie było widać. Zato w dwa dni później
zrobiła się prawdziwie letnia pogoda, jakiś wyjątko-
wy w tegorocznej, zimnej jesieni dzień. Niebo jak
kryształ, słońce pali, jak w lipcu.

Na lotnisku oczekują przedstawiciele władz lot-
niczych i komunikacyjnych, Ligi Obrony Powietrz-
nej, aeroklubu warszawskiego, lotnicy, prasa, znajo-
mi, ciekawi, naręcza kwiatów, tłum! Jest i szkoła, ta-
ka mała, jedna z pierwszych klas gimnazjum „Przy-
szłość“ (nomen omen!). Dzieciaki interesują się samo-
lotami ogromnie, kleją, budują modele, a teraz oczę-
kują niecierpliwie na pierwsze lotniczki.

Pilotka, pani Wanda Olszewska z obserwatorką,
p. Marją Wardasówną już przyleciały wcześniej nie-
spodzianie; czekamy na drugą partję lotniczek.

Nagły, bliski huk motoru rozlega się nad lotni-
skiem, druga awjonetka podchodzi do lądowania.

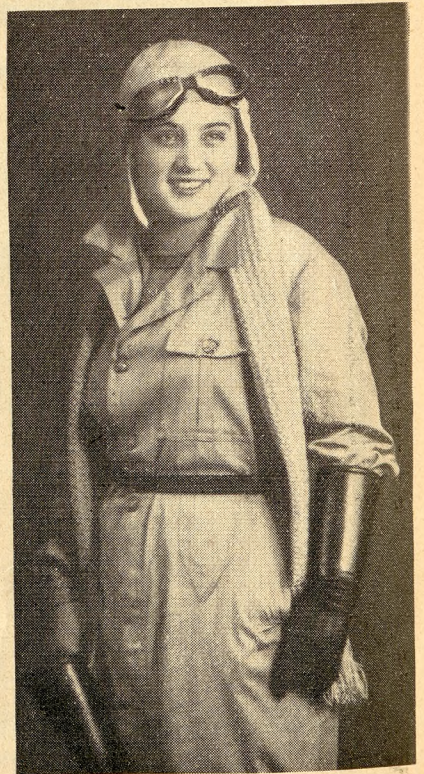
Nie „do Śląska“, ale od Śląska przylatuje nowo-
czesna Danuśka, panna Danuta Sikorzanka, z obser-
watorką, p. Marją Lierówną.

Ładuje poprawnie, samolot też nie „gąska“. Ta
śliczna, mała polska awjonetka z profilu przypomina

raczej czupurnego
koguta, prawdziwe
cacko, lekkie, ele-
ganckie, zwrotne, na-
wet po rozmokłem
lotnisku roluje jakoś.
Już jest. Wszyscy
rzucają się do lotni-
czek. Jakież miłe,
młode, dzielne nie-
wiasty! W takiej
pierwszej, szeroko
rozgłaszanej impre-
zie tak łatwo było o
snobizm, małeńką
szarżę w zachowa-
niu, czy kostjumach.
Ani śladu tego. Przy-
leciały sobie skrom-
niutkie, w płaszczy-
kach i zwykłych
pantofelkach, roze-
śmiane, radosne. Tak
strasznie dążyliśmy
do Warszawy, by-
le jaknajprędzej!
A tymczasem trze-
ba było siedzieć i
czekać!



P. Marja Wardasówna.



P. Marja Lierówna.

— Ale dlaczego panie nie telefonowały, byliśmy tak niespokojni.

— Kiedy telefon do Warszawy był nieskończenie zajęty — odpowiada p. Wardasówna. — Wysłałyśmy depeszę do Warszawy, mamy przecież pokwitowanie!

Okazuje się, że depesza nie doszła właśnie do Warszawy, ale już się tem nie przejmujemy, przecież już są.

Trzeba im jednak, dać wypocząć, potem dopiero opowiedzą nam swoją Odyseję.

Po południu odbyło się przyjęcie w aeroklubie warszawskim: jeden z asów lotnictwa sportowego, profesor Pruszkowski, wygłosił przemówienie powitalne, stwierdzając z dowcipną werwą, że kobiety latają równie dobrze, jak mężczyźni, chodzi tylko o drobiazgi: żeby im mężczyźni nie przeszkadzali!

Potem naczelnik Wydziału Lotnictwa Cywilnego, inż. Filipowicz, wręczył lotniczkom artystycznie wykonane medale od aeroklubu.

No, nadchodzi teraz kolej na informacje: a co, a jak, a jakim sposobem? A z kim mamy „zaszczyt i okoliczność“.

„Bluszc“ miał już przedtem garść informacji, dzięki uprzejmości niez mordowanego propagatora lotnictwa i stronnika lotniczek, p. Kazimierza Rola-Sadkowskiego z Katowic, który pierwszy nadesłał wiadomość z prośbą o wzmianki o raidzie, aby „świat się przekonał, że i my mamy dzielne niewiasty“.

Trzeba jednak jeszcze usłyszeć całą genezę imprezy, a głównie wrażenia z lotu.

Organizacja raidu doszła do skutku szybko i sprawnie, głównie dzięki wydatnej pomocy p. wojewody Grażyńskiego, który obok licznych swych obowiązków znajduje czas na pracę nad rozwojem lotnictwa i któremu aeroklub Śląski zawdzięcza swoją egzystencję. W tym aeroklubie wyszkoliły się obie obserwatorki, panie Wardasówna i Lierówna (na przyszły rok mają nadzieję wylaszowania, jako pilotki) pod kierunkiem majora pilota rezerwy Wierzyńskiego. Obie awjonetki są też własnością aeroklubu, który oddał je do użytku lotniczek na raid.

Pilotki, pani Olszewska i panna Sikorzanka, wylaszowane zostały obie w 1929 r. przez aeroklub lwowski; panna Sikorzanka jest absolwentką politechniki. Pani mecenasowa Olszewska...

Boże broń, żadna „mecenasowa!“ jestem pilotka Olszewska!

No, to niech nam „pilotka Olszewska“ opowie wrażenia z drogi.

Opowiadają, razem z panną Sikorzanką.

Wyleciały z Grodna, pomimo strasznej mgły. Nic nie było widać, nawet toru kolejowego. Wreszcie p. Sikorzanka postanowiła lądować.

— Ale gdzie, jakże panie zobaczyła teren?

— Pikowałam poprostu do ziemi; jak już byłam nisko, zobaczyłam, że można, pole było, błotniste, ale gładkie, wylądowałam szczęśliwie.

A pani Olszewska?

Pani Olszewska zrobiła to samo, o parę kilometrów dalej. Potem wszystkie, pilotki i obserwatorki brnęły po deszczu, zostawiwszy samoloty pod opieką „władz“ gminnych, aż do cegielni pod Szepietowem, gdzie przyjęto je z całą gościnnością. Na trzeci dzień dopiero zrobiła się pogoda.

O całym raidzie mówią panie z entuzjazmem, wszędzie witano je serdecznie, a cały lot, z wyjątkiem drobnej przygody pod Szepietowem, szedł gładko, bez żadnych zahaczeń.

— Jutro wystartujemy do Torunia, potem Poznań, Łódź, Kraków i Katowice. Musimy być w Katowicach na niedzielę — zapewnia p. Wardasówna — wszyscy tam czekają.

Specjalnie mi się podobała ta ślączka; co za pyszny typ nowoczesnej dziewczyny, w dodatkiem znaczeniu tego słowa! Pracuje na siebie, a obok tego ma czas i zdobywa środki na wyczyny sportowe. Za własne, zapracowane i zaoszczędzone pieniądze kupiła sobie motocykl, teraz szkoli się w lotnictwie!

— Jabym sobie i awjonetkę jakoś kupiła, na raty — śmieje się radośnie — ale te niegodziwe materiały pędne tyle kosztują! Trzeba mieć dużo pieniędzy, żeby móc naprawdę swobodnie latać!

Myślę, że panna Wardasówna dojdzie jednak do swojej awjonetki i szczerze jej tego życzę.

Leć, pilotki rozrzuciły pozdrowienia Macierzy Polsce od Górnego Śląska.

Dzielne propagatorki lotnictwa kobiecego dały dowód nielada wytrwałości: raid trzy tysiące kilometrów, a w przerwach ciągle wywiady i przyjęcia! Warszawa nie zostawiła im ani chwili wolnej; po herbatce w Aeroklubie, wieczór w L. O. P. P. i w Państwowych Zakładach Lotniczych.

Pomimo tego, nazajutrz, o 8-ej rano wystartowały w dalszą drogę. Teraz w Katowicach „wita je podziw, jak bijące dzwony“, jak opiewa wiersz, ułożony na ich cześć przez p. W. Żelechowskiego.

Obok sentymentalnego, zaimprovizował Śląsk i humorystyczny pean, o „dziouchach“, co „furgają“, „coby z nieba se łobejzdrzyć Polska ukochano“.

Mówią o nich wszyscy.

Początek zrobiony, teraz tylko dalej, szczęśliwie. Na przyszły rok czekamy raidu naokoło Europy. Byłaby to propaganda, nie gorsza od tegorocznej wioślarek.

Mają już „skrzydłeczka“. Oby im jaknajprędzej wyrosły skrzydła, mocne, ogromne, sięgające przez lądy i morza.

N. J.



NIEZWYKLE TANIA NAUKA

Nie chcę tu mówić do rodziców dzieci, walęsających się bez szkoły po podwórkach i ulicach, ćwiczących się w psich i innych figlach, podlegających wielce szkodliwym wpływom: idzie mi tym razem o inną kategorię ludzi: o dorastające i dorosłe dziewczęta i kobiety ze sfer inteligentniejszych, które się gdzieś, czegoś w szkole, czy w domu uczyły i nie douczyły, w dzieciństwie normalnie kształcić się nie chciały, czy nie mogły.

Lwia część winy spada tu bezspornie na ich rodziców, gdyż nie wszyscy jeszcze dotąd uważają za normalne i konieczne, żeby nie tylko synowie, ale i córki skończyły szkoły, przygotowały się do pracy zawodowej.

Życie niejednej kobiety przykre miewa koleje — czasy wojenne dały nam tego niezwykle przekonujące a niezliczone przykłady. Dziś, gdy znów ciężkie przeżywamy chwile, a zapowiadają nam jeszcze gorsze, pragnę tym młodym osobom, nieświadomym grożących im niebezpieczeństw, zwrócić uwagę na niezmiernie pożyteczne, potrzebne, a niezwykle tanie uczelnie, gdzie mogłyby uzupełnić swoje wykształcenie, zdobyć świadectwo szkolne, a tem samem uzbroić się do walki życiowej. Oplata tam wynosi... zaledwie złoty półrocznie.

Są to szkoły dla Dorosłych, prowadzone przez Sekcję Oświaty Pozaszkolnej Magistratu miasta Warszawy. Nauka trwa 3 lata: kurs piątego, szóstego i siódmego oddziału szkoły powszechnej. Na I kurs przyjmują kandydatów ze świadectwem z ukończenia 4-ch oddziałów szkoły powszechnej; na II — 5-ciu oddziałów; na III — 6-ciu oddziałów, a także na zasadzie egzaminu. Zajęcia 5 razy na tydzień (prócz sobót), od 7 do 9^{1/2} wieczorem, w lokalach szkół powszechnych.

W chwilach wolnych od lekcji, szczególnie w niedziele i święta, odbywają się luźne odczyty, wykładki przyrodnicze, krajoznawcze i inne; raz do roku — kilkudniowe, do którejś z najpiękniejszych, najważniejszych miejscowości w kraju. Prócz tego ćwiczenia fizyczne (gimnastyka i gry sportowe), nauka kobiecych robót ręcznych pod kierunkiem instruktorów-specjalistów.

Dla osób, które skończyły lat 18, są przeznaczone szkoły koedukacyjne przy ulicy Elektoralnej 7 i Poznańskiej 11. Dla dziewcząt od 14-tu do 18-tu lat: Chelmska 19, Królewska 19, Krucza 21, Plac Żelaznej Bramy 10 (Ptasia 3).

Szkoły dla Dorosłych utrzymuje też Związek Nauczycieli Szkół Powszechnych we Lwowie i Sejmik Powiatowy w Będzinie. Świadectwo tych uczelni równoważne jest świadectwu z ukończenia szkoły powszechnej państwowej dla dzieci.

I w tym roku, jak od lat kilkunastu, plakaty, rozlepione na murach Warszawy, głoszą, że zapisy się rozpoczęły; samochody, pełne słuchaczy, objechały miasto, obrzucając je ulotkami propagandowymi; uczelnia zatem i jej uczniowie zrobili wszystko, co można, ja zaś na tem miejscu chciałabym omówić tylko pewnego rodzaju szkopy, zagradzające niektórym drogę do tej instytucji.

„Jak to dorosłej uczyć się, jak dziecku, w szkole początkowej!” — mówi niejedna panienska z bólem, goryczą, wstydem.

Weale, nie jak dziecku! Pracując z dorosłymi,

nauczycielstwo stosuje się do materiału ludzkiego, z którym ma do czynienia, zmienia odpowiednio metody, sposób postępowania. Na każdym kroku wykładowcy pamiętają o tem, że mają do czynienia z rozwiniętymi ludźmi, którzy przyszedli zdobyć pewną ilość wiedzy książkowej, przynosząc równocześnie z życia praktycznego dużo wiadomości, nieznanych dzieciom, a zdobytych dzięki warunkom środowiska, otoczenia, pracy zawodowej, przez obcowanie z ludźmi, różne przeżycia.

Rozpoczynając wykład, nauczyciel stara się przede wszystkim dowiedzieć zapomocą zręcznie rzuconych pytań, co uczniowie wiedzą w związku z danym tematem. I nieraz wtedy panienska, czy pani ze sfery ziemiańskiej zaimponuje koleżankom znajomością wsi, narzędzi rolniczych, hodowli zwierząt, uprawy roślin, zwyczajów, strojów, pieśni ludowych; córka urzędnika popiszę się znajomością pewnych paragrafów prawa, czy urządzeń społecznych; dorosła siostra technika-ceramika przytoczy dane bardzo specjalne, nieznanie nawet wykładowcy. I t. d. i t. p. Uczennica, pięknie czytająca poezję, odczuwająca je całą duszą (co przyniosła z wyjątkowo wrażliwego na piękno otoczenia), będzie użyta nieraz do głośnego odczytania klisze wiersza, czy artykułiku, a uznanie ogólne, aplauz będzie jej miłym bodźcem do pracy. Niema tu zatem mowy o urażeniu ambicji — przeciwnie: jest wielkie pole do popisu.

A koledzy i koleżanki? Czy panienska z inteligencji znajdzie się w Szkole dla Dorosłych w nieswojem towarzystwie? Odpowiem na to: proces stopniowego ubożenia pewnych warstw, a bogacenia się nieposiadających, ciągnie się już lata całe; znajdziesz więc, czytelniczko niniejszego artykułiku, koleżanki ze wszystkich sfer, a tem samem i z tej, do której należysz, a za przyjaciółkę wybierzesz sobie istotę pokrewną ci duchem!

Przechodzę do punktu najważniejszego. Jakże często obecnie żywiciel rodziny, wykwalifikowany w swojej specjalności pracownik, traci zajęcie na długie, długie czasy, a córka, żona lub siostra jego mogłaby zdobyć pracę, właśnie się trafia, lecz w danej instytucji, czy przedsiębiorstwie, żądają świadectwa, conajmniej z ukończenia szkoły powszechnej. Koniecznie!

Ilość takich instytucyj i przedsiębiorstw będzie się z każdym rokiem zwiększała, a równocześnie coraz nowe falangi młodzieży z normalnie ukończoną szkołą wchodzi w życie. Czyż równe im wiekiem, bez świadectw, dadzą się im zupełnie wyrugować z rynków pracy?

A kiedy wybije chwila zrealizowania powszechnego nauczania, żaden chlebodawca, czy szef, bez świadectwa szkolnego do pracy przyjąć nie tylko nie zechce, ale nie będzie mógł, zostanie bowiem wydane odpowiednie rozporządzenie, a chwila ta jest bliższa, niż się wielu wydaje. Pamiętajmy o groźnym jutrzel!

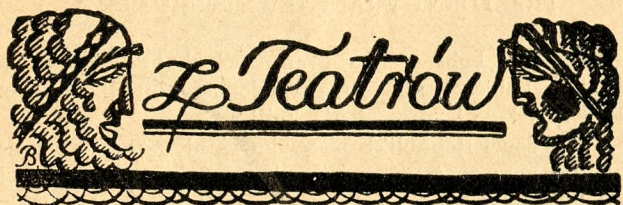
Komu brak odwagi do zapisania się do Szkoły dla Dorosłych, niech choć przyjdzie zobaczyć, jak się to odbywa; jak nauczyciele, wyspecjalizowani w tej tak odrębnej, a milej i pożytecznej pracy, udzielają cierpliwie i niestrudzenie wszelkich informacji — a jestem pewna, nabierze śmiałości.

Wykształcenie zaś początkowe poniżej 4-ech oddziałów można uzupełnić na Kursach Początkowych

dla Dorosłych Oświaty Pozaszkolnej Magistratu miasta Warszawy; od lat 18-tu w następujących Ogniskach (koedukacja): ul. Bema 76, Bonifraterska 14, Chelmska 19, Chłodna 11, Dzika 9/11, Karowa 2, Nowy Świat 22, Poznańska 11 (oficyna), Szeroka 17, Złota 51. Żoliborz — baraki dla bezdomnych. Dla dziewcząt od 14-tu do 18-tu lat są uczelnie: ul. Karowa 12, Nowolipki 76.

Kursy Początkowe dla Dorosłych istnieją w wielu miastach, miasteczkach i wioskach Rzeczypospolitej Polskiej.

Józefa Gażyńska.



Sprawy teatrów, emocjonującej już od dłuższego czasu zainteresowanych oraz nielicznych dziś „miłośników” teatru, nie omawialiśmy w „Bluszczu”. Drażliwość tej sprawy, jej coraz bardziej wikłający się przebieg, kazały nam zająć stanowisko obserwatora. Nie znaczy to, jakoby obojętne nam było przezwlekle „bezteatralje”. Teatr jest zbyt ważną placówką kulturalną, żeby go mogło nagle zabraknąć.

W tej chwili jeszcze krzątają się powołani i niepowołani około uruchomienia teatrów miejskich, natomiast teatry Szyfmana wracają z wolna do normy. Teatr Polski rozpoczął od wznowienia komedji Maughama'a: „Oto kobieta”, sztuki zręcznej, postawionej przez świetną grę p. Przybyłko-Potockiej. Z teatralnych zamieszek powstał teatr na Chłodnej, w którym zgrupowali się artyści z zespołu Szyfmana, dając sztuki już dobrze wygrane. Niemniej też z owych zamieszek, zarówno warszawskich, jak i lwowskich, powstał „Melodram” Schillera w dawnym teatryku rewjowym „Qui Pro Quo”. Melowidowisko „Królowa Przedmieścia” wprowadza ten nowy teatr na drogę niewątpliwych sukcesów.

Otwarcie sezonu teatralnego przypadło tym razem w udział teatrowi „Ateneum”.

TEATR „ATENEUM”.

„Senat szaleńców” — humoreska ponura w 3-ach aktach Janusza Korczaka. Reżyserja St. Perzanowskiej, ilustracja muzyczna R. Palestra, dekoracje Eug. Poredy.

Jest dziś coś niewspółmiernego między nastawieniem myślowym ludzi t. zw. myślących, a światem wydarzeń. Nawet krytycyzm, nawet bunt nie przystaje do tej dzisiejszej rzeczywistości. Zapewne jest jakaś pomyłka w koncepcji myślowej, wzbudzanej bezustannie czynnikami uczuciowymi, ale jest też bezradność, rzecz można, powszechna, która nie umie rozwikłać żadnego zagadnienia i wpada w chaos. Niewątpliwie wynika to z ząbienia się wszystkich zagadnień społecznych, z tego scentralizowania się, które nie przemieniło się jeszcze w program o jednej myśli przewodniej.

Z takich właśnie cierpień człowieka myślącego powstała ponura humoreska Janusza Korczaka. Ten dobry lekarz dusz dziecięcych, świetny pisarz, myśliciel i działacz społeczny — za-

prezentował nam swoją bezradność wobec wszystkiego, co jest dziś albo pozostałością tradycji, albo usiłuje drogą rewizji przeobrazić życie moralnie i obyczajowo. Ponurość sztuki Korczaka wywodzi się właśnie z braku — wniosków. Widzieliśmy bowiem rewję zagadnień, a chór, podzielony na głosy, recytował zastanawiające słowa i myśli. Zabrakło jednak syntezy, tego właśnie, na co dziś czekają społeczeństwa.

Szaleńcy Korczaka są „przedstawicielami” bodajże wszystkich warstw, a może raczej zawodów. Mogą mówić, jako szaleńcy, bez ograniczeń, bez cenzury. Są więc tak interesujący, jak myśli niewypowiedziane i są też tak samo nieokielznani, sprzeczni ze sobą. Nie mają poprostu formy. Bezforemność chyba przedewszystkiem w teatrze. Nie będziemy się jednak epierać przy t. zw. budowie sztuk teatralnych, skoro okazało się już, że to nie jest obowiązujące. Chodzi nam tylko o pewne skupienie, które nazwalibyśmy celem dzieła sztuki. I tego właśnie nie ma w „Senacie szaleńców”.

Czekaliśmy na ostatnie słowo autora, na jego konkluzję. Ale tak było, że tylko śmieszny koltunizm Barbary Szulc zakończył happy endem sprawę sztuki, oczywiście — tylko sztuki. Zagadnienia, eksplodujące z naszych — przyznajmy się — obłąkanych umysłów, zawisły w powietrzu. Czyżby może właśnie koltunstwo ze swoim miłosierdziem, sentymentem, sumieniem i poządlivością „osobistego szczęścia” było jedynym regulatorem życia, wyzwalającym z cudownego obłąkania, leczym, koilo itd.?

To, co zostało i napewno zostanie ze sztuki Korczaka, było rewelacyjnie podane przez Jaracza. Bajka o Panu Bogu. Smutny Brat, który szaleje od myśli dziś nieprzystosowanych, który więdnie, obumiera z powodu nadmiaru uczuć zanadto anielskich — potrafił nas tylko wzruszyć bajką. Zapewne, trzeba, abyśmy się znowu stali maluczy, dzieciom podobni. Wspaniałość naszego życia jest pychą i zlem. Ale kto zatrzyma konkursowy bieg i burzę, idącą mu naprzeciw? Jest coś nieuniknionego w tem właśnie, czego nie dopowiedział, albo dopowiedzieć nie ważył się, mądry i liłościwy człowiek — Janusz Korczak.

Sztukę wystawiono z ogromnym wysiłkiem wszystkich czynników teatru. Dekoracje, reżyserja, gra aktorów — dały w istocie efekt zadziwiający.

Herminja Naglerowa.



NA „OSIEDLE” DLA DZIECI BEZDOMNYCH.

Na cele Komitetu opieki nad bezdomnym dzieckiem „Osiedle” odbędzie się w Café Adria dn. 18 października, to jest w niedzielę o godz. 22-jej czarna kawa — dancing. Bilety wstępu po 5 zł. za zaproszeniami.

Niewątpliwie piękny cel i niska cena biletów zachęci wiele osób do wzięcia udziału w tej zabawie.

Pierwszego października rozpoczynają się Roczne Kursy Ogrodniczo - Pszczelnicze, prowadzone przez Towarzystwo Pszczelniczo-Ogrodnicze w Warszawie od roku 1896 przy ul. Profesorskiej 4 (dawniej Wiejska 12).

Nauka jest teoretyczna i praktyczna. Jest to uczelnia koedukacyjna, przeważnie uczęszczana przez kobiety. Duży zastęp byłych słuchaczy pracuje na polu ogrodnictwa na wybitnych stanowiskach kierowniczych, w Samorządach miejskich, szkołach zawodowych, Towarzystwach Rolniczych i Ogrodniczych, jako instruktorzy, a także prywatnie i częstokroć u siebie.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NIE UCZCIWIE I NIE PO KOBIECEMU.

Grupa posłanek i senatorek z klubu parlamentarnego B. B. W. R. ogłosiła list otwarty do posłanki Mileny Rudnickiej. W rzeczowym, doskonale logicznie umotywowanym piśmie posłanki polskie stwierdzają, że p. Rudnicka zlekceważyła najelementarniejsze zasady etyki, występując przeciwko państwu polskiemu, któremu wierność i lojalność zaprzysięgła *dobrowolnie*, przyjmując mandat poselski.

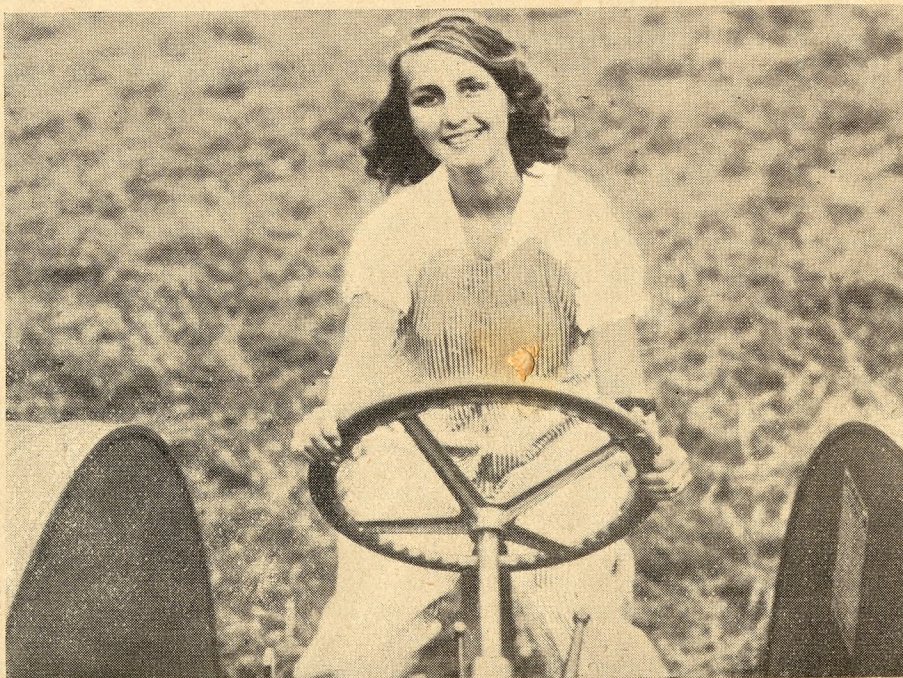
Pozatem, p. Rudnicka, propagując paęfizm, przyczynia się jednocześnie swą agitacją do rozpętania burzy nienawiści jednego narodu przeciw drugiemu. Wolności i spokoju narodu ukraińskiego nie zdobędzie się ani gwałtem i zbrodnią, ani osłabieniem Polski: możliwe jest tylko zgodne współzycie dwóch bratnich narodów i w tym kierunku polki współpracować będą z ukrajkami, wykluczając jednak bezwzględnie z tej współpracy jednostki w rodzaju posłanki Rudnickiej.

PRACA KOBIET W GRODNIE.

Bardzo ciekawy kurs wychowania obywatelskiego zorganizował w Grodnie oddział wojewódzki Związku Pr. Obyw. Kobiet. Otwarcia dokonała przewodnicząca Związku, p. starościna Robakiewiczowa. Po przemówieniach powitalnych p. starosty, przedstawicielki Kuratorjum warszawskiego i Centrali Związku, p. Moszczyńska wygłosiła pierwszy wykład o Socjologicznych podstawach państwa. Kurs będzie sześciodniowy; oprócz wykładów odbywają się dyskusje i wycieczki.

NOWOCZESNE GOSPODARSTWO.

Amerykanki pracują bardzo wydatnie nietylko w handlu i przemyśle, ale i w rolnictwie. Szkół rolniczych, ferm i stacyj doświadczalnych są w Stanach dziesiątki tysięcy. Naturalnie, wszędzie gospodaruje się na zasadach najwyższej racjonalizacji i przy pomocy nowoczesnych maszyn i narzędzi technicznych. Na rycinie widzimy młodą gospozię, jadącą na pługu traktorowym.



Oraczka.

NÓWA PORADNIA MACIERZYŃSTWA.

W Warszawie otwarta została w tych dniach pierwsza poradnia „Świadomego macierzyństwa“, zorganizowana przez Tow. Służby Społecznej w lokalu własnym (Leszno 55/55). Między innymi, ordynuje tam znana lekarka, dr. Budzińska-Tylička.

UZNANIE DLA DZIAŁACZKI POLSKIEJ.

Angielski tygodnik kobiecy polityczny, „The Vote“, poświęcił w artykule wstępnym życiorys naszej delegatki do Ligi Narodów, p. Anny Paradowskiej-Szelągowskiej, wraz z jej fotografią i wyczerpującą, pochlebną oceną jej działalności.

PREZYDENT FRANCJI ANTIFEMINISTĄ.

Tygodnik kobiecy „La Française“ charakteryzuje opinię w sprawie kobiecej nowego prezydenta Republiki, Doumera i świeżo zmarłego b. prezydenta Fallières'a.

Prezydenci Republiki, pisze dowcipnie autorka wzmianki, są jak dni naszego życia: następują po sobie, ale są do siebie niepodobni!

Zmarły w 92 roku życia staruszczyk Fallières był prezydentem w r. 1909 i wtenczas już, podczas otwarcia wielkiego gmachu Ligi Nauczania, wygłosił następujące przemówienie: „Prezydent Republiki ma być tylko strażnikiem konstytucji i nie wolno mu wygłaszać swojej osobistej opinii w pewnych kwestjach. Pozwólcie mi jednak wyrazić pewne życzenie, wypowiedziane z całego serca: oto pragnąłbym, aby równouprawnienie obu płci mogło się urzeczywistnić. Jestem z tych, którzy sądzą, że kobieta powinna zająć w życiu społecznym stanowisko, równe z mężczyzną“.

Pan prezydent Doumer sądzi inaczej.

SPIEWACZKA Z GÓR.

Każdy, kto był w Tyrolu, pamięta napewno piękne pieśni solowe i chóralne górali „jodlerów“. Towarzyszą one wszędzie turyście, a tyrolczycy są z nich dumni, tak samo prawie, jak ze swych cudownych dolomitów i ożywczego powietrza gór. Obec-



80-letnia jodlerka.

ny prąd regionalizmu i podtrzymywania zabytków folklorystycznych przyczynia się jeszcze więcej do tego, że sfery artystyczne otaczają pieczołowitą opieką wszystkie przejawy tyrolskiej sztuki ludowej.

Świeżo w Trautenstein odbył się konkurs tyrolskich i bawarskich śpiewaków, którego jury stanowili znani muzycy, pisarze, profesorowie akademii monachijskiej i przedstawiciele władz. Najstarszą „zawodniczką” była 80-letnia jodlerka z Innsbrucku, Hundegger. Przybrana w narodowy kostjum, akompaniując sobie na mandolinie, staruszka odśpiewała solo, w którym nie zawiodła ani jedna z nut, zawrotnie wysokich, jak tyrolskie szczyty. Wywołało to prawdziwy entuzjazm. Pani Hundegger przyznano pierwszą nagrodę, a przewodniczący Sądu konkursowego, wzruszony, uściskał babinę z takim zapalem, jakby była ośmnastoletnią debiutantką.

POMOC DLA SAMOTNYCH CHORYCH.

Bez głośnej reklamy, a sprężyste i dzielnie zorganizowały pielęgniarki miasta Dijon nową instytucję społeczną: Pomoc chorym. Jak wiadomo, oprócz pielęgniarek zawodowych, dużo jest kobiet, które jeszcze w czasach wielkiej wojny nabyły wiadomości fachowych z zakresu pielęgniarstwa. Jedne i drugie zrzęszyły się i utworzyły małą centralę, do której mogą zwracać się osoby, chorujące w domu, a pozbawione usługi i opieki. Pielęgniarka zajmuje się nie tylko chorym, ale jego domem, załatwia interesy i sprawunki. Liczny udział pielęgniarek, które opiekują się chorymi bezpłatnie, pozwala zarządowi „Pomocy” normować opłaty bardzo przystępnie, a nawet udzielać niezamownym opieki darmo.

BIEDA NAUCZY.

Obserwując to, co się teraz dzieje, nie w każdym poszczególnym kraju z osobna, lecz na całym świecie, mamy chwilami wrażenie, że ludzkość straciła tę resztę rozumu, który miała przed wielką wojną. Zdawałoby się, że śmierć setek tysięcy ludzi, miliony ofiar, miljardy zaprzepaszczone na polach bitew, zniszczenie ekonomiczne połowy cywilizowanego świata, powinniśmy ludzi uspokoić i skłonić do zastanowienia się, jakby to jakoś naprawić, ułożyć stosunki tak, aby w przyszłości podobne katastrofy stały się niemożliwe, zaprowadzić sprawiedliwy podział funduszy i pracy.

Gdzietam! Wszystko naodwrot. Jedne narody szczyrzą na drugie zęby, chcąc odebrać tym drugim to, co jako tako sprawiedliwie zostało im zwrócone; inne gromadzą i zamykają u siebie góry złota, nad którym siedzą, w rezultacie głodne, jak skąpiec z bajki; jeszcze inne, nie mogąc same stanąć do walki, podburzają do niej innych, organizując ich armje za pożyczone od kogo innego pieniądze, aby potem samemu ogłosić bankructwo.

Na całym świecie panuje bieda, choć fabryki i sklepy przepelnione są towarami; ludzie chodzą głodni, choć topi się kawę i zboże; tłumy bezrobotnych błagają o pracę, pomimo że tyle jest jeszcze do zrobienia. Wszyscy szukają pieniędzy, choć są ich miljardy gdzieindziej, nieprodukcyjne i bezczynne!

Prawdziwy dom warjatów, a że medycyna jest dotychczas wobec chorób umysłowych radykalnie bezsilna, cóż się dziwić, że biedny lekarz w todze Ligi Narodów, razem z wszystkimi swymi asystentami: komisjami pracy, spraw gospodarczych, prawa międzynarodowego, rozbrojenia i nie wiem już jakimi, nie umie znaleźć lekarstwa?!

Jednak świat musi być leczony i wyleczony, inaczej chyba nastąpiłoby zniszczenie cywilizacji.

Któż jednak go wyleczy?

Zapewne, że najpotężniejszym środkiem byłoby odrodzenie moralne, pozbycie się chciwości i zawiści. Na to jednak nie bardzo się zanosi.

Otrzeźwić może i napewno to zrobi inny czynnik: bieda.

Dotychczas bowiem chciwość wszystkich bogactw: ziemi, złota, zagarniania narodów i zysków, przewodzenia nad innymi, tworzyły właściwie całą politykę.

Niech wszystko ginie, byłem ja miał!

A tymczasem ludzie zaczynają się boleśnie przekonywać, że gromadzenie złota nie zapewnia dobrobytu; więcej: że nie można, mając dobrobyt u siebie, utrzymać go stale samemu, bo wszystkie interesy ekonomiczne całego świata zahaczają się o siebie i wzajemnie na siebie wpływają i że różne hegemonje zaczynają kończyć się tak, jak angielska w Indiach.

Przy całym ciężkim stanie dzisiejszym, jest w tem pewna pociecha: ludzie muszą dojść do przekonania, że nie można tak żyć i zaczynają to już powoli rozumieć. Dzisiejsze warunki: bankructwa, bezrobocie, zamęt polityczny, to wstrząsy, zapowiadające bliskość chwili, w której świat przestanie cenić złoto, konkurencję dla obdarcia drugiego ze skóry i politykę podkładania pożaru u sąsiada, a zacznie nadawać wartość ogniskom pracy i jej materiałom, normować zgodnie swoją i cudzą wytwórczość i tworzyć rozwój ludzkości w rozsądnym współzyciu narodów.

Polska będzie miała wówczas łatwe zadanie: żyła tą idea zawsze. Inni muszą się tego pracowicie uczyć, ale bieda jest surowym, lecz dobrym pedagogiem.

KRYNICA.

Poszukuję kulturalnej samotnej Pani, jako współniczki do pensjonatu w Krynicy.

Laskawe zgłoszenia listowne proszę kierować:

do Redakcji „BLUSZCZU”

Plac Zamkowy 9, Warszawa — pod „Krynica”, albo telefonicznie 9-14-04 od 8-ej wieczorem.

NASZA MÓWNIKA

Potencjalna siła marzenia (w odpowiedzi na artykuł p. N. J.).

Rano. Chłodny jesienny brask. Niedziela. Świadomość dnia świętecznego, bez naganki twardych, codziennych obowiązków, stwarza miłą lekkość myśli i oddechu.

Zdarza się, że na świecie jest dobrze...

Lekkie poruszenia na sąsiednim łóżku dają znać, że ktoś jeszcze się obudził.

„Dzień dobry”. „Owszem, zanosi się na to...”. „Dobrze jest zarobić na odpoczynek, mieć go i patrzeć sobie, jak niefrasobliwe czerwone słońce całkiem futurystycznie rozbija się po ścianach”... „Proszę... co za nastrój stratosferyczny!... ale mów dalej...”. Raczej wypadaloby śpiewać: „My się jeszcze obudzili, byśmy...”.

Lekkie pukanie. Gazety. Chwila nastawienia na pospolitą ciekawość: za moment sprawiedliwy podział daje do ręki pierwszą stronę gazety.

Gruby druk, jaskrawy tytuł uderza obuchem. Serce ogarnia przedziwna ciasnota. Dławiący, bezradny ból ściska krtań... „Zredukowany Gocławski zamordował żonę i dwoje dzieci”. Coś bezładnie woła: taka krzywda... taka straszna krzywda! Jakieś nieznanne, podświadome potęgi każą krzyknąć w zimne serca i dusze: dosyć! Dosyć tych zbrodni, krzywd! Uczucie jakby wspólwny głazem przytłacza myśli... Po dłuższych chwilach stężenia w ciosie, obolałe słowa zcisnąją uczucia, myśli zaczynają pracować i snują się w rozmowie marzenia...

Wszyscy ludzie powinni mieć zapewnione prawo naturalne: pracę. Praca, a nie bezduszne złoto powinno być regulatorem stosunków ekonomicznych. Osobiste zalety umysłu i muskułów, zdolności i pracowitości, wszelkie dodatnie cechy charakteru człowieka są najcenniejszym parytetem, lepszym od złota, kapitał musi służyć, jako siła, pomocnik człowiekowi.

Do zrobienia jest tak wiele w domu i u nas w kraju! Budujemy szosy, mosty, kanały, koleje, stacje doświadczalne; regulujemy rzeki, urządzamy parki, sady, zwierzyńce; elektryfikujemy kraj; pokrywają się niezaludnione tereny szaremi, ale szczęśliwymi postaciami robotnych obywateli, zjawiają się zapotrzebowania dla istniejących warsztatów pracy, i mrówczym wysiłkiem wytwarzają wielkie Dobra na użytek przyszłych pokoleń. Przyszłe pokolenia będą używały tych Dóbr i powinny płacić za nie.

Zbliżone porównanie: kupiec oddaje mi futro na spłaty dwuletnie, bo futro nie łatwo się niszczy i starczy mi na dłuższe lata, mam czas płacić.

Zresztą, powiedzenie starego, ale postępowo nastawionego emeryta nabiera barwy: „niech tylko mam pracę, to mogą mi płacić kawałkiem skóry, bylebym za to dostał chleba i buty”.

Płacimy więc robotnika bonami, obligacjami, weksłami, czy jak to tam nazwać, wartościowemi narówni ze złotówką, a nawet wyżej, bo o wykonaną celową pracę opartemi, więc można je oprocentować, gdyż wybudowane objekty będą dawały zyski, a tem samem powinny stać się korzystną lokatą drobnymi kapitałami.

Emisja bonów, czy obligacyj powstaje tylko w miarę wzrastania wykonanej i wykończonej pracy i wartości wybudowanych obiektów, stąd zabezpieczenie przed dewaluacją.

Obdarzony pracą i sprawiedliwą płacą, dzisiejszy bezrobotny staje się podwaliną dobrobytu narodowego i kolosalną możliwością rozwoju kulturalnego.

Zamajaczył się człowiek szczęśliwy...

Zapewne, najpierwsze trudności nastąpiłyby ze strony wielkiego kapitału, ale też już czas, aby świat pracy wziął w swoje ręce swoją przyszłość i niepozwoił, aby martwe złoto decydowało o wojnie, kryzysie, inflacjach i zbrojeniach. Jeśli wspomnieć Księgi Pielgrzymstwa, to Mickiewicz jasno uchwycił,

czem jest bożek Interes, któremu się klaniają możni i z zimną krwią pograżają w rozpacz i nienawiść zastępy parjasów. Uświadomienie i rozum świata pracy leży w granicy możliwości przebudowy i naprawy obecnego krzywdzącego ustroju.

Daleko zaszła poranna rozmowa, rozogniona uczuciem w poszukiwaniu jaśniejszej drogi; myśli zatrzymały się, kondensując syntezę: komunizm? Nie! Raczej etatyzm.

Lodzianka.

Co cenimy?

Byłam niedawno w cyrku na przedstawieniu, na którym obecna była szkoła żeńska. Tuż za mną siedziały uczennice I i II-giej klasy, a więc dziewczątka 11 i 12 letnie. Na arenie popisował się zongler, któremu piłki podawała zgrabna, młoda osóbką. W pewnej chwili usłyszałam za sobą takie słowa: „Boże, jaka ta pani cudna, jaką ma figurkę. Slicznie szczupłą. Och, gdybym to ja kiedyś miała takie nóżki i figurkę, tobym była szczęśliwa!”. Obróciłam się i ujrzałam, że słowa te wypowiedziało dziecko, ale takie dzisiejsze, mała kobietka 12 letnia.

Pomyślałam: duch czasu! Posiew naszych rozmów, książek, kin, prasy.

Popatrzmy tylko do działu ogłoszeń naszych dzienników, a co ujrzymy? Oto:

1) Gospodyni, młodej, dobrze zbudowanej, do prowadzenia domu, szuka „Samotny inżynier”.

2) Zdolna, przystojna, zgrabna panna potrzebna do masarni. „Z. P. Kraków”.

3) Wysokiej brunetki, o harmonijnych kształtach szuka za żonę „Przemysłowiec 54”.

Przykładów takich w ciągu tygodnia można zebrać setkę.

A przysłuchajmy się naszym rozmowom. Czy bardzo często nie słyszy się takiego zdania? „Pani X. A to osoba bardzo przystojna, bajecznie się ubiera, cudną ma figurę. Słyszałam, że ma też być dobra i miła”. Sami ustalamy wartość zalet, spychając te właśnie najistotniejsze wartości na szary koniec, inne przeceniając.

Niedawno zdarzyło mi się rozmawiać z pewną starszą panią, która mi oświadczyła, co następuje: „Będąc dziś w towarzystwie, w pociągu, w tramwaju, mam wrażenie, że znaczna część ludzi wybaczyłaby mi otrucie męża, obrabowanie banku, oszustwo, a nie może mi wybaczyć starości. Bardzo rzadko trafiam na pomoc przy wsiadaniu lub wysiadaniu z wozu tramwajowego; czasem słyszę cierpką uwagę nad powolnością moich ruchów, etc.”.

Poszanowanie dla starszych istnieje, jako przeżytek, zamknięty w obrębie rodzin. Społeczeństwo wyzwoliło się z „przesądu”.

Nadmierny kult nóżek, fotogenicznych twarzy, linii etc. sprawi, że w niedługim czasie osób, gorzej przez naturę uposażonych, tolerować się nie będzie w żadnym biurze, w żadnej masarni... Może zjawi się projekt wywożenia ich do Angoli, lub zrzucania ze Świnicy?

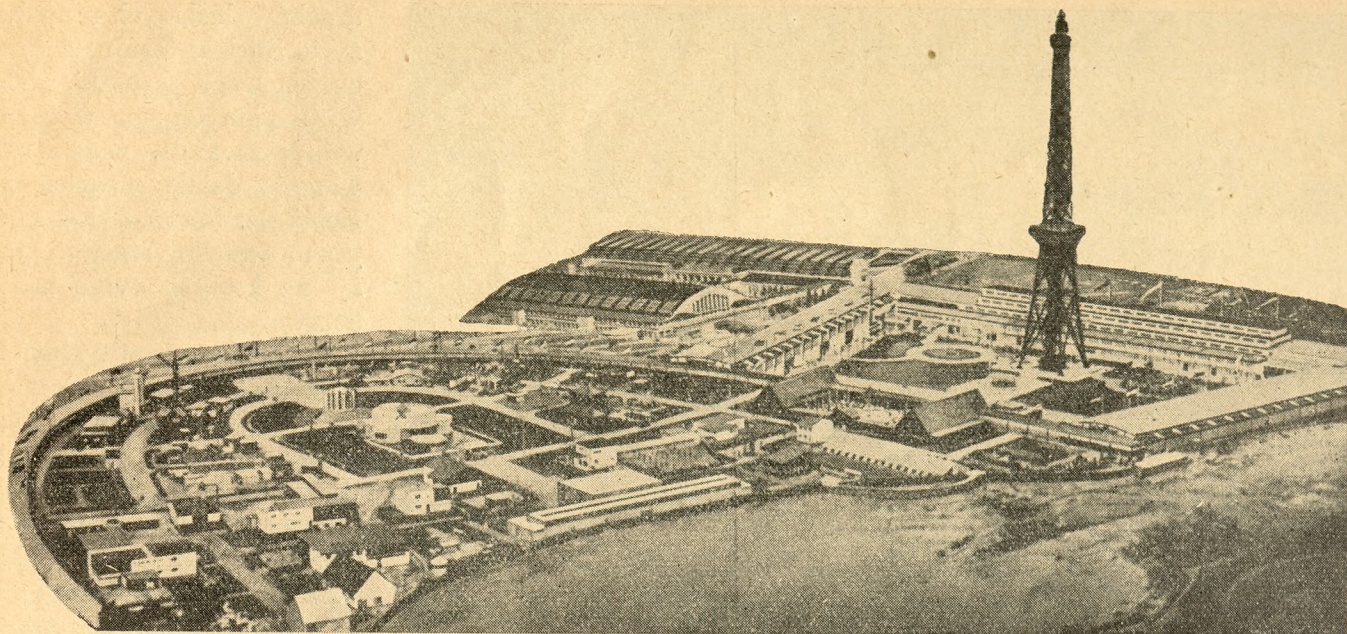
Wina za to, co już jest i co być może, tkwi chyba w nas, lub blisko nas. Kult ciała dni dzisiejszych przypomina, że jednostronność zawsze daje złe wyniki.

Z. Siemianowska.

I my to zorganizujemy

Niezmiernie do serca przypadł mi artykuł p. t. „Macierzyństwo dla sierot”. Jakaż to szlachetna i wspaniała myśl założenia Ligi Chrzestnych Rodziców natchnęła p. Blankę Barbier!

Wiele sierot znalazłoby i u nas serca, gdyby taką Ligę założono. Ręczę, że Rodziców Chrzestnych znajdzie się wiele. Mam nadzieję, że w przyszłym nr. „Bluszczu” rozwinie szeroko ten temat i p. Jastrzębska powiadomi nas, gdzie mamy zapisywać się na członków.



Ogólny widok wystawy budowlanej w Berlinie.

W BERLINIE NA WYSTAWIE BUDOWLANEJ

Ciężkie żelazne bramy i militarna postawa biletów przy wejściu na wystawę niezbyt życzliwie usposabiają przybysza z Polski, nasuwając przykre wspomnienia z okupacji niemieckiej.

Jednak zapał wystawowy robi swoje: każe śpieszyć po nowe zdobycze i nowe wrażenia!

W hali wystawy międzynarodowej, poświęconej rozbudowie miast i sprawie mieszkaniowej, skrzy się od barw sztandarów, herbów, napisów wielojęzycznych, różnorodności wykonanych modeli placów, domów i osiedli.

Jugosławia pokazała tu pięknie wymodelowane w drzewie osiedla i liczne boiska sportowe, położone na malowniczych wzgórzach. Chiny — widoki nowych kolonij mieszkalnych i swe pagody piramidalne. Można tu było również podziwiać oryginalne stoły chińskie, krzesła i stołki w kształcie beczulek, całe wyrzeźbione w ażurowe esy - floresy z ciemnego drzewa.

Austrja przypominała zwiedzającym, jak wiele tysięcy zdrowych mieszkań pobudowała w Wiedniu, gdzie dzięki temu śmiertelność dzieci spadła o 50 proc.!

Francja, przejęta widocznie swą wystawą kolonialną, pokazała tylko piękny model planu Paryża, kilka fragmentów rozbudowy miasta i stare zakątki.

Ameryka nie zapominała na wystawie o swej królowej — amerykance — którą gospodarstwo domowe nie może zbyt trudzić. Nieduża kuchenka, lecz bogato wyposażona w pomysłowe i praktyczne sprzęty, zatrzymywała nawet niejednego urbanistę, goniącego za barwną siecią planów regulacyjnych. Bo też było w niej rozkosznie! Seledynowe, cieniutkie firan-

ki w oknie; biały pakowny kredens; mroźny „fridgero“*) w białej szacie; stolik na kółkach o pięknym, białym blacie z masy; zmywak, obmyślony we wszystkich szczegółach; nowoczesna płyta gazowa i białe kręcone taborety odbijały ładnie na tle barwnych ścian tego milego pokoju.

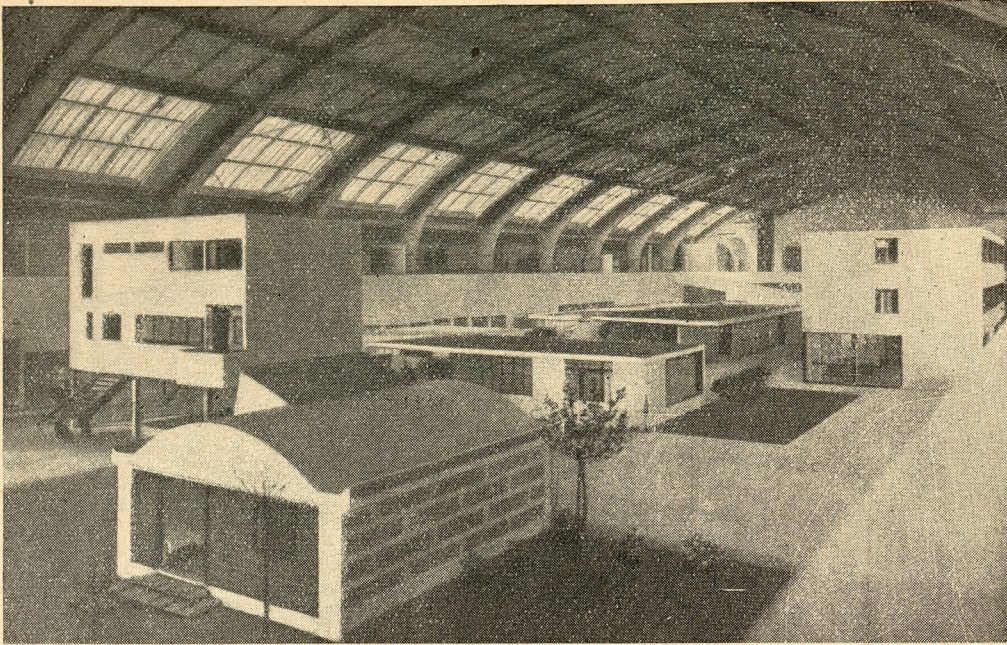
Bogata Filadelfja nie rozumie naszych bolączek mieszkaniowych, gdyż domki 6-ciopokojowe, tonące w różach, są tam własnością rodzin robotniczych.

Jednak i w naszym stoisku ładnie było i dobrze prezentowały się plany nowych osiedli, głównie Żoliborskich. Fotele, pomysłu arch. Brukalskiej, miały tu powodzenie, chociaż początkowo każdego, żadnego wypoczynku, ogarniał przestrach przy siadaniu na tak niskim poziomie.

Niemcy, jako panowie sytuacji i gospodarze, pokazali najwięcej.

Obrazowy i efektowny sposób propagowania nowych zbiorowych osiedli, wspaniałe w rysunku i wykresach porównania, wreszcie piękne fotografie zdrowych mieszkań, pełnych światła i słońca, tonących w zieleni, o obszernych placach gier i basenach dla dzieci i dorosłych, cudowne „dolce far niente“ na pięknie strzyżonych trawnikach i leżakach w pobliżu osiedli — mogło obudzić zazdrość w niejednym bodaj posiadaczu pięknej willi z ograniczonym ogródkiem. W końcu hali ruchome schody, nieocenione dla zwiedzających, nęcały dalej ku nowoczesnym mieszkanom.

*) amerykańska lodówka, wytwarzająca lód przy pomocy prądu elektrycznego.



Domy nowoczesne pod dachem hali wystawowej.

Pod ogromnym dachem hali, w ogródkach i pośród pięknych trawników siedzą bezpiecznie domki „na nóżkach“, o płaskich dachach, domki miniaturowe i większe.

Sposób ich wykończenia i umeblowania — nowoczesny, lecz niezbyt oryginalny. Te same meble stalowe, szafki i półki znormalizowane, niskie tapczany, jasne, cieniutkie zasłony barwne w szerokich oknach — dają naogół wrażenie ładu i miłego spokoju.

Gdzie niegdzie daje się zauważyć nowy sprzęcik do przedpokoju: wieszak o szklanej półce na kapelusze, stoliczek kombinowany z szufladkami na drobiazgi i drewnianą barjerą z boku na parasole i laski.

Barwne, elastyczne podłogi gumowe w pokojach, czyste małe łazienki, o umocowanych niklowych wieszakach, drążkach do ręczników, półkach szklanych — świadczą wybitnie o komforcie małych mieszkań.

Ciekawy i nowy okaz przedstawiały w niektórych mieszkaniach drzwi nowego typu, zsuwane, jak harmonijka. Są one szerokie i lekkie, dzięki czemu dają możliwość dowolnego poszerzenia pokoju przez łączenie z sąsiednim i tworzenie pięknych perspektyw wnętrza.

W górnej hali można było nacieszyć oko wielo nowościami. Wystawiono tu piękne, cieniutkie firanki w pastelowych kolorach, zasłony i maty pasiaste i w kraty białoczarne, o wzorach nowoczesnych.

Gładkie metalowe, o srebrnym połysku listwy do firanek i sztor, z ukrytą pod spodem maszyną, są bardzo praktyczne i o wiele estetyczniejsze od

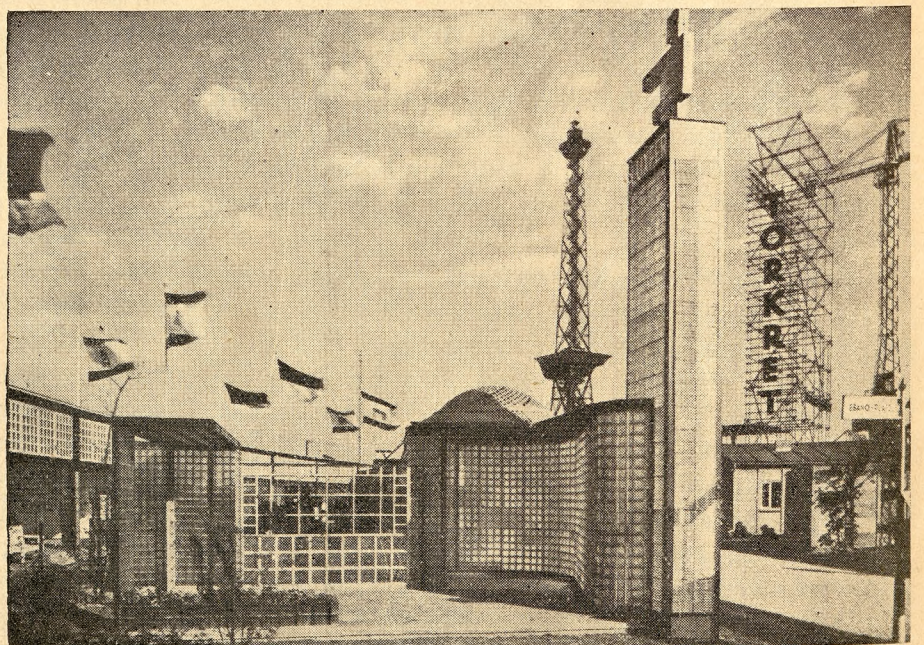
drążków, będących u nas w użyciu. Piękne forniry z drzewa cytrynowego, gruszki, dębu i wielu innych o wyraźnym układzie warstw, zademonstrowano w dziale nowoczesnych mebli. Bezlitosny wyrok zapadł już na wszelkie rzeźby i gzymsy na korzyść tylko nagiego drzewa.

Bardzo prymitywnie, lecz miło przedstawiały się meble, projektowane przez Schustra, dające się dowolnie kombinować i zestawiać, dzięki swym czterem zasadniczym elementom: podstawa (nóżki), skrzynia sześcienna, szuflady i półki.

Wszystkie te rzeczy musiały choć na chwilę zatrzymać każdą panią domu.

Przechodząc do następnych 6-ciu pawilonów, miało się z radością mniej ciekawe stoiska z dachówką, blachą cynkową, materiałem drzewnym i sale, pełne rur i innych „rupieci“ budowlanych, by czempredzej dotrzeć do pawilonów, położonych na otwartej przestrzeni, z nęcącym z oddali pałacykiem kobiet „Ring der Frauen“, znajdującym się w samym centrum.

Poza kobietami i organizacjami kobiecymi, które w czasie kongresu i całej wystawy urządzały tu zebrania, wieczory literackie, pokazy filmowe i taneczne, popisy sportowe i t. p., pawilon ten, cały biały, w kształcie koła i czterech półkoli, z obszernym tarasem, otoczonym pięknym basenem i kwietnikami wokół — przyciągał każdego zwiedzającego, żadnego pięknych widoków, tak rzadkich, niestety, na wy-



Fragment wystawy z widokiem na altankę i wieżę ze szkła.

stawie „Ring der Frauen“, cały z kafli białych, ozdobiony stalowymi meblami o srebrnym połysku i otoczony wewnątrz kołem witraży wystawowych z wyrobami artystycznymi, cały estetyczny i wytworny, przypominał raczej białą balonową torebkę pięknej pani, niż kiosk do reklamowania obiektów, będących w handlu.

To też w kawiarence, mieszczącej się w tym pałacyku, rojno i wesoło, pomimo chwilowego braku atrakcyjnych dancingowych lub meetingowych.

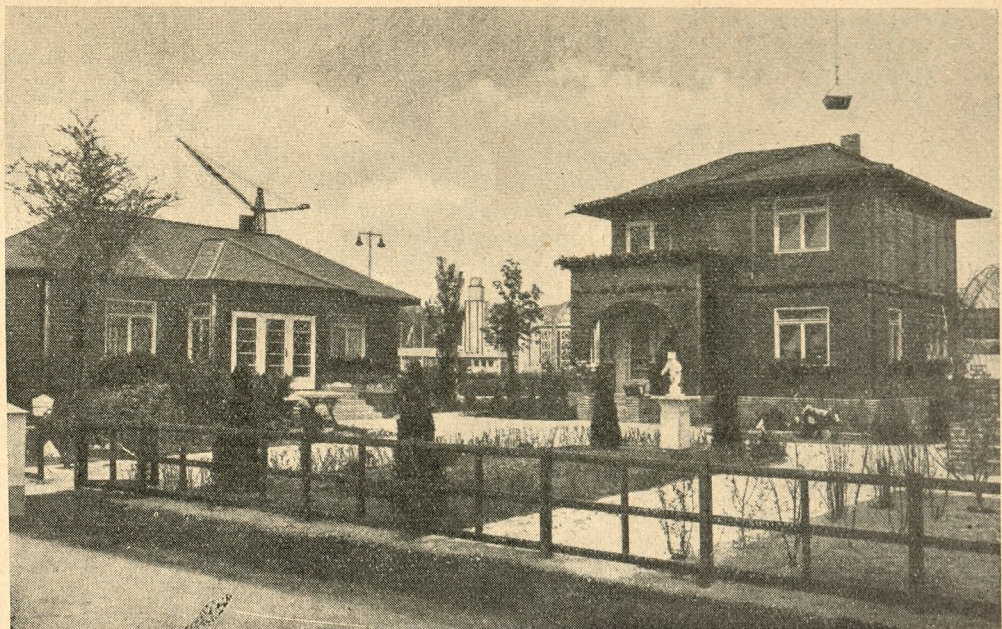
Chciwie oko pani zobaczyłoby tu niejednego drobiazga, godzien zawiści...

Piękne dzbanuszki i całe nakrycia nowoczesne ze srebra; oryginalne broszki, wykonane przez Ilse Neufeld i Hedwig Kohn; poduszki z błyszczącej ceraty, o deseniach geometrycznych; różne artystyczne pudranka, szczotki i lusterka, oprawne w czerwoną skórę safjanową — wszystko to o nowych, dziwacznych kształtach.

Za lustrzanymi szybami mienią się barwne jedwabie, o oryginalnych deseniach zwierzątek, roślin i łódek. Na jednym mamy nawet widok wystylizowanego Nowego - Jorku — dzieło Maji May.

Zebrane tu wyroby są wszystkie dziełem artystek, lub zespołów i wytwórni artystycznych. One właśnie pobudziły organizatorów wystawy do wzniesienia tego przybytku sztuki czysto-kobiecej.

Po zwiedzeniu tego pawilonu, chętniej ogląda

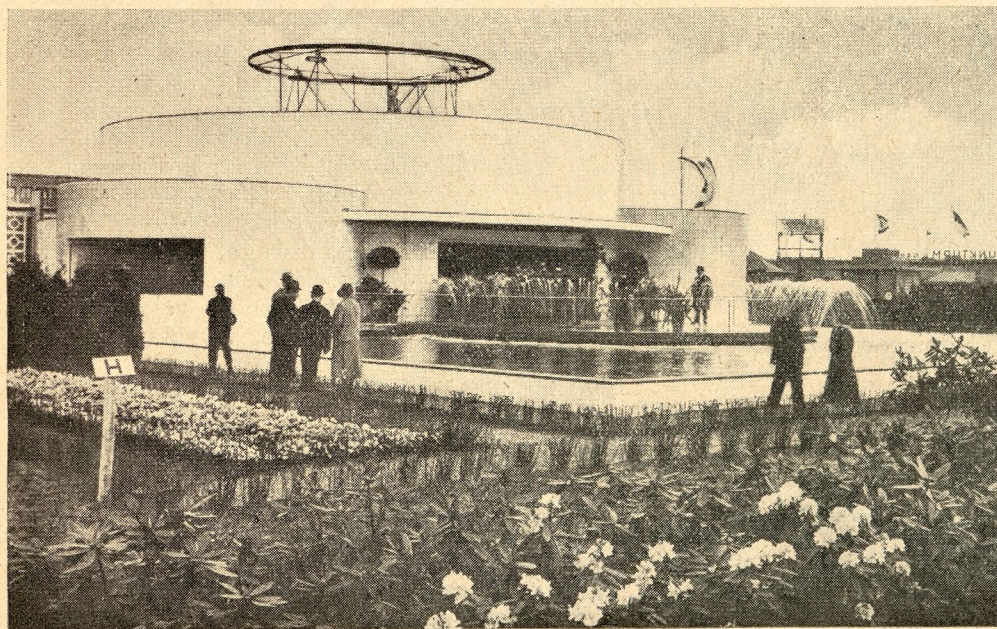


Domy letniskowe, kryte zzewnątrz i wewnątrz blachą miedzianą.

się resztę. A więc przede wszystkim domki drewniane, z blachy miedzianej i inne, wykonane z różnych materiałów zastępczych. Są to przeważnie domki letniskowe lub mniejsze, przeznaczone na „week end“. Już za 3.000 mk. można zdobyć domek o dwóch izbach, kuchni i werandce. Przytem, zamawiając w poniedziałek — można już go mieć w angielską sobotę... Domki, uzupełnione meblami umocowanymi i ściennymi, wyglądały dobrze; inne — zawierające dowolny lamus firm meblowych traciły bardzo na wyglądzie. W ogródkach przy tych domach było zato wiele pomysłowych leżaków, foteli, ławek i krzeseł ogrodowych, wykonanych z drzewa, wikliny i rur metalowych. Są to przecież dla week-end'u i letnisk meble najodpowiedniejsze. Pewną sensacją na wystawie wzbudzały domy, wykonane z blachy miedzianej; niestety, o kształtach, zapożyczonych z domów murowanych i drewnianych. Wokoło nich piękne ogródki, w których kształtne karły i krzewy owocowe tworzyły swoistą architekturę. Dla zabawy i uciechy zwiedzających urządzono tu na otwartym terenie wystawy miniaturową kolejkę o dzieciennym torze, z huczącą lokomotywą, prawdziwym maszynistą i konduktorem.

Przejeżdżając w niej prędko wzdłuż pawilonów, stoisk i wież reklamowych, kończyło się wystawę nawesoło, jak śmieszny, barwny jarmark.

J. Ginett-Wojnarowiczowa.



Pałac kobiet „Ring der Frauen“.

DLACZEGO U NAS LUDZIE TRUJĄ SIĘ GRZYBAMI?

Niedawno zjawił się u mnie z kilku pudełkami grzybów wysoki referent oświatowy, emeryt, zazywający „panem bene merentis” w pięknym swym mająteczku, w północnej Wielkopolsce. Oświadczając mi na wstępie, że, mimo długich lat nauki i zamilowania do przyrodoznawstwa od lat najmłodszych, nie a nie na grzybach się nie zna, roztwierać począł przyniesione pudełka i wyjmować z nich najróżnorodniejsze grzyby, poowijane troskliwie w papierki.

— To wszystko z mojego parku — rzekł. — Ot, przebogaty produkt ziemi, jedyny, z jakim człowiek nie wie, co ma począć!

Uspokoiwszy gościa uwagą, że wszędzie poza Polską wiedzą, co mają z grzybami robić, wzięłem się żywo do oznaczania grzybów na papierach, w które były owinięte. Szły więc masy bdel najrozmaitszych, runkowców, żagwi, koleczaków, gałęziaków, kustrzebek, piestrzenic i t. p., wprawiając pana referenta w coraz to większe zdumienie, przy każdym niemal bowiem gatunku słyszał mój wyrok: — Jadalny, smaczny!

Ale, przy okrągłutkich, białych purchawkach łukowych i przy dziwacznej, jak odwrócona flaszka, lub gruszka, leśnej purchawce perełkowanej, nie wytrzymałszy, zachnął się półgębkiem:

— Jakże to? i purchawki też? Toć chyba żarty! Na co ja w reprimendę?

— To nie żarty, proszę pana, ale... najcudowniejsze przystawki na muszelkach! Proszę tylko spróbować, a nie będziecie państwo innych pasztecików jeść i gościom z chlubą podawać, jak tylko z purchawek! Robi się, jak zwyczajnie móżdżek: z cebulką, w maśle, posypyany tartą bułką; lecz wprzód purchawki, same młode, jędrne ze skórki obrać (bo w gotowaniu jak guma), cieniuchno pokrajać, tak samo pokrajać cebulę; gotować w garnku kamiennym bez niczego, nawet bez soli, we własnym ich sosie; po 15-tu minutach wrzenia dodać trochę masła, znów dusić 5 minut, potem dodać trochę dobrej, gęstej śmietany kwaśnej, rozbitej z odrobiną mąki, znów dusić 5 minut, wreszcie odpowiednio do smaku posolić, doskonale wymieszać, układać w muszelki, polać zrumienionym masłem, posypać tartą bułką i wstawić do pieca, by się przygrzały. Do tego nadają się wszelkie purchawki, nawet ciemne z wierzchu, byle białe wewnątrz. A to — rzekłem, wskazując na odpowiedni okaz na stole — jedyna purchawka trująca: tęgoskór pospolity, zbierany i dziś jeszcze u nas pod mianem „polskiej truflki”.

Na to już pan referent złapał się za głowę, z żalem utyskując:

— A ja nazbierałem i nasuszyłem tego worek cały! Pytałem pobliskiego aptekarza i miejscowego nauzcyciela: mówili, że to trufla!

— Nie, panie! — objaśniam. — Trufla rośnie zawsze w głębi ziemi i znaleźć ją można tylko przypadkiem, albo, jak we Francji, przy pomocy tresowanych świń, lub psów. A to tęgoskór pospolity, zwany również purchawką ziemniaczaną, bo kształtem i barwą grubej łupiny do ziemniaka podobny; grzyb naziemny, bardzo pospolity, o wnętrzu twardem, czarnem, upstrzonym gęsto białymi punkcikami, gdy trufla ma wewnątrz zawsze żyłkowane, jak marmur.

— A przecież ludzie to jedzą! — kwestjonuje z niedowierzaniem referent.

— Tak, tu i ówdzie jedzą jeszcze — mówię — i trują się! Zatrucie śmiertelne najczęściej następuje po zjedzeniu dwu całych tych grzybów naraz; ale tęgoskóra, jak truflę, biorą tylko po odrobinie, na smak; lecz i to nie bez skutków! Jadany w ten sposób często, tęgoskór zatruwa z wolna, porażając coraz bardziej cały system nerwowy; wreszcie przychodzi obawa przestrzeni, strach przed samotnością, pustym pokojem, nocą, snem, i biedna ofiara tęgoskóra... czy też nieuctwa... wałęsa się błędnie, przerażona życiem, któremu wreszcie kres kładzie samobójczą ręką.

Pan referent, w widocznej rozterce ducha, głęboko się zadumał.

Po chwili, z wyraźnym gestem gniewu rozwinięwszy następną paczkę, wyjął z niej papierowe zawiniątko i głosem strofującym rzekł:

— No tak, ma pan zupełną rację! Nauka u nas w powiśkach! Ot i takie naprzykład świństwo, z przeproszeniem, parszywego jakiegoś muchomora zbierają niektórzy i mówią, że to dobre!

To mówiąc, wyjął z powicia piękną, młodą stroszkę strzelistą.

— Ależ — krzyczę — toć kotlet najprzedniejszy, że niech się cielęcy schowa! A młode, ususzone, na surowo, to pomadka istna, nie grzyb!

Pan referent zbaraniał; kark mu się wydłużył, wygiął, oczy jakby nabrzmiały. W pokorze wyszeptał:

— A ja myślałem...

Aż żal mi się biedaka zrobiło! Więc grzecznie, przyjaźnie, zacząłem tłumaczyć, że to t. zw. sowa, na targowiskach miast polskich w wielkich już ilościach sprzedawana, że młodzietki okazy tego grzyba, ususzone na piecu, pokryte jakby szronem, drobnymi krysztalkami swego cukru, smakuja i rozplywaja się w ustach, prawdziwie, jak pomadka; że wreszcie kapelusze tych dojrzalszych grzybów, w całości obtarzone w mące, w rozbitym, posolonym jajku i w tartej bułce, usmażone w maśle na patelni, dają smakowite kotlety, o wiele cenniejsze od cielęcych.

Gość, wysłuchawszy wykładu z nabożeństwem, sięgnął żywo, z widoczną jakby chęcią popisania się, po papier następnym. Rozwinięwszy go, chwycił w palce wspaniałe okazy grzyba zielonawego.

— Nie dotykać! — krzyknąłem.

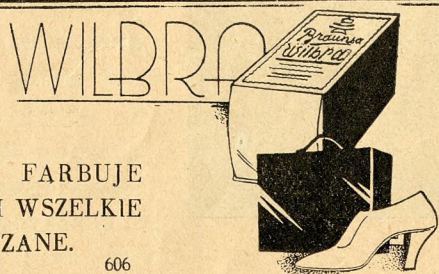
Gość momentalnie grzyb rzucił, ręką strzepnął i przysiadł skurczony na krześle, wyraźnie zieleniąc i pocąc się. Wreszcie wyjąkał:

— A ja nazbierałem tego dużo, kazałem gotować i już mieliśmy z rodziną jeść, ale coś mnie tknęło i powiedziałem, że zjemy, aż wrócę z konferencji z profesorem...

— No, to niechże pan da na mszę świętą za cudowne wprost ocalenie pana i całego domu! To „śmierć leśna”, muchomór bulwiasty zielonawy. Dr. Welsmann, przewodniczący komisji lekarskiej Niemieckiego Towarzystwa Grzyboznawczego w Darmsztacie, opowiada w jednym z numerów „Zeitschrift für Pilzkunde”, że pewien mykolog niemiecki, niosąc je-

WILBRA FARBUJE
NAJLEPIEJ OBUWIE I WSZELKIE
WYROBY SKÓRZANE.

606



den egzemplarz tego grzyba w palcach, przez 3 km., uległ długotrwałemu paraliżowi całej ręki. O podobnych wypadkach donoszą i z innych miejsc.

Co jest tego powodem, niewiadomo; zdaje się, że zabójcze działanie sypiących się wciąż z żywego grzyba, niezmiernych mas mikroskopowo drobnych zarodników. U niektórych gatunków nauka (polska!) już stwierdziła, że nie grzyb, ale zarodniki jego są trujące. Muchomor bulwiasty biały, czy żółty, czy też zielonawy jest, jako potrawa, bezwzględnie zabójczy; nawet, jak piszą Niemcy: „Eine Gabelspitze“, my powiemy: spożycie „na koniec noża“ tego ugotowanego grzyba do 8 — 10 dni kładzie trupem nawet najzdrowszego człowieka. Najgroźniejsze odmiany: biała, brana za pieczarkę, i zielonawa, brana za jesienną zielonkę, zwaną również zieleniarką lub gąską zieloną. Ale bywają i takie wypadki, że człowiek nie bierze tego przez pomyłkę, lecz *jedynie z racji, że mu się on podoba...*

Tu skurczył się mój gość jeszcze żałośliwiej, wreszcie wstał, czempredziej zgarnął do pudełek grzyby i, wciąż skulony, nie patrząc mi w oczy, bąknąłszy coś pod nosem, niby podziękę, niby pożegnanie, chyłkiem się wyniósł.

Może i ty, panie referencie oświaty, przeczytasz tę dziwną opowieść, której bohaterem stałeś się mimowoli! A przeczytawszy ją, zdobądź się na odwagę obwieszczenia światu, że to wszystko prawda, tak, jak zdobyłeś się na odwagę zebrać i podać całej rodzinie na stół nieznanne ci grzyby, dlatego tylko, że cię wyglądem swym pięknym i zdrowym zachęciły!

Prof. Feliks Teodorowicz.

PANI PALI

— Pani pali?

No, oczywiście, że pali. Któżby w czasach tak nerwowych wytrzymał na tym płaczu padole bez papierosa-pocieszyciela?! Zresztą, papieros tak przesłicznie kompletuje smukłą, muskularną sylwetkę damy up to date! Papieros — powiernik marzeń, pocieszyciel dyskretny, niezastąpiony. Pani pali zawsze i wszędzie. To się samo przez się rozumie. Ale co i jak? To rzecz ważna.

Bo przecie Pani wytworna i palić powinna wytwornie.

Pani, tak grymaśna w wyborze ubrania, zadrezczająca modystkę i fryzjera, spędzająca długie godziny nad kombinowaniem różnorodnych perfum, któreby się złożyły na zapach jedyny, jej tylko właściwy — nie może przecieź émić, jak kapral, byle jak, byle czego.

A jednak, to się zdarza. Aż nazbyt często, niestety.

Przez oszczędność? Przez niewybredność? Bezmyślność?

Oszczędność źle rozumiana. Bezmyślność karygodna. Niewybredność nie na miejscu.

Bo cóż za sens będzie miało wyszukanie subtelnych perfum, jeżeli je zdusi i zabije ordynarny zapach taniego tytoniu? Dobór barw najbardziej pastelowych, kunsztownie stonowanych, linja najwyszukańsza — o ile foremne pani usteczka zmienia się w komin, ziejący dymem lichych papierosów?!

Palić powinno się po smakoszowsku. W wybo-

rze papierosów stosować selekcję równie ścisłą, jak w wyborze perfum, tualet, ba! nawet przyjaciół.

Tylko gatunki najwyższe, najwykwintniejsze. — Powiada pani, że to za kosztowne? Więc palić mniej, ilość zastąpić jakością.

Cóż bo może być mniej estetycznego, jak niewiasta, kurząca papieros za papierosem, rozrzucająca nieporządnie niedopalki, a raczej papierosy ledwie rozpoczęte, nadgryzione, niedopalone! Obsypująca siebie i bliźnich gorącym popiołem.

Dobry papieros, wypalony w spokojnem skupieniu, zaspokaja na czas dłuższy, nie drażni gardła i dróg oddechowych. Dobry papieros jest, jak smaczny posiłek: nasyca.

Aromat dobrego papierosa stapia się z zapachem perfum, pudru, z emanacjami skóry; wytwarza ową atmosferę indywidualnego wykwintu, która powinna otaczać każdą elegancką kobietę.

Strona optyczna ma też swoje znaczenie i to nie byle jakie. Inaczej przecieź w smukłych paluszkach wygląda „Złota Pani“ — cienka, rasowo wydłużona, zdobna złotą obwódką i monogramem, niż, powiedzmy, jakieś „Ergo“. Najwykwintniejsze jednak, najwybredniej zalotne są „Nile“, niezrównane w smaku i obmyślane wprost wyrafinowanie.

Ich szkarłatne, jedwabne zakończenia ustnika pozwalają przypuszczać, iż czerwien ust pani jest naturalna, gdyż nie zostawia śladów. Kobiety, coppers, poznają się na tem (kobiety są takie sprytnie!), ale mężczyźni z pewnością dadzą się wziąć na kawał (mężczyźni są tacy naiwni!).

Ale prawda, mężczyźni też palą i najczęściej palą obrzydliwie. Co na to poradzić? Pani paląca nie może, wzorem swych dystygowanych babek, zabronić palenia w swej obecności.

Jedyna więc rada, o ile nie chodzi o męża, lub narzeczonego, którym można *kazać* palić te papierosy, których zapach się lubi, — mieć zawsze pod ręką zapas papierosów rozmaitych, lecz tylko w najlepszych gatunkach, dla gości.

Trochę to kosztowne, ale przynajmniej ochroni się mieszkanie przed wstrętnym, gryzącym zapachem taniego tytoniu. Zapachem, przesycającym meble i portjery, niedającym się wypłoszyć.

Widziałam kolekcje papierosów Polskiego Monopolu Tytoniowego, przesłicznie opakowane, w pudełkach z przedziałkami. Wyglądało to, jak barwna mozaika. Pudełko zawierało 10 różnych gatunków, wszystkie świetne. Smakosz mógł w nich odszukać ulubione specjały; człowiek, palący, co się zdarzy, poznać rozkosz, jaką daje prawdziwie dobry papieros.

Takie pudełka powinna mieć każda pani wytworna na stolicku, obok maszynki z czarną kawą. I multum popielniczek.

Salon pani palącej winien stać się szkołą pogładową kulturalnego palenia.

Well.

| | | |
|------|---|------|
| 1831 | A. STARKMAN | 1931 |
| | SKŁAD FUTER | |
| | Warszawa, Plac Teatralny (pod filarami) | |
| | Poleca: FUTRA damskie i męskie w wielkim wyborze, oraz nowe modele. Ceny niskie. | |

„LARENDOGRA“

Od najdawniejszych czasów ludzkość cała miała skłonność do różnych wonnych substancyj. I to nie tylko kobiety, lecz i mężczyźni namaszczały swe włosy, ba! ciała całe aromatycznymi olejkami. W komnatach wiecznie płonęły ognie, podsycane umiejętnie dobranymi ziołami, kadzidłami, smolkami i t. p. Zapachy te coprawda miały głównie na celu zabicie fatalnych wyziewów, wywołanych brakiem nieznaney wtedy wentylacji.

To zabijanie zapachów kadzidłem przetrwało wieki i dopiero ostatniemi czasy ludzie doszli do uznania prawdy, że dobre powietrze w mieszkaniach można utrzymać tylko przez stałe wietrzenie. Pamiętam z czasów mego dzieciństwa, jak przed przejściem gości, a nawet domowników z jadalni do salonu, stary służący wchodził, niosąc na końcu pogrzebaczka rozpaloną fajerkę, którą chłopiec pokojowy usilnie podlewał aromatycznym octem. Jeszcze dzisiaj czuję mocny, korzenny zapach goździków, dominujący w tym preparacie.

W pokoju babci, na ślicznej, rzeźbionej, srebrnej podstawie, po kilka razy dziennie dymiała orjentalna trociczka. Była wprawdzie w domu olbrzymia, drewniana wanna, ale używano jej rzadko, przed wielkimi świętami, lub w razie choroby, na skutek przepisu lekarza.

My, wtedy dzieci, coprawda byliśmy kąpani i myci często i dokładnie, jednak starsze pokolenie dziadków i ciotek uważało to za ryzykowną inowację, mogącą spowodować przedewszystkiem przeziębienie, a następnie różne inne choroby. Babcia i stare ciotki, jej siostry, myły się w srebrnych miedziankach minimalnych rozmiarów, trzymanyh przed niemi przez pannę służącą. Ręce, szyję i tors ocierano miękką gąbką, polewając wszystko z równie małego dzbaneczka wodą ciepłą, zmieszaną z wodą kolońską, którą starsza od swoich pań panna Leontyna uparcie nazywała „larendogra“.

Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, co znaczyło to tajemnicze słowo: „Eau de la reine de Hongrie“ („Woda królowej węgierskiej“).

Ogromne butle tego specyfiku, który zresztą już dla wszystkich, poza panną Leontyną, nosił nazwę wody kolońskiej, sprowadzano z Petersburga od firmy Sztoll i Szmidt, której wyroby były podobno lep-

sze od oryginalnych, kolońskich. Zresztą i dziadostwo i rodzice przywozili z podróży zagranicznych także liczne flakony oryginalnych „Jean, Marie Farina, Jülichspatz, Köln“.

Lecz panna Leontyna uważała wszystkie te kupne wody za karygodny zbytek. Urodziła się i wyrosła w czasach, kiedy domy wiejskie, oddzielone przez większą część roku od reszty świata fatalnymi drogami, żyły pod znakiem zupełnej samowystarczalności i wszystkie artykuły potrzebne wyrabiała w domu.

A ona właśnie umiała robić i „larendogrę“, i ocet aromatyczny (właśnie ten, zabójczo pachnący goździkami), i trociczki, i wodę różaną, i wodę fiołkową, i napełniała różne porcelanowe wazeczki suszonymi kwiatami: różą, rezedą, fiołkami, goździkami. Soliła to wszystko prawdziwą solą i zimą, chcąc pokój napełnić aromatem kwiatów, otwierała te schowanka. Robiła też z fiołkowego korzenia i kwiatów myszki, lub z listków lawendy saszetki, które przekładała bieleznię swoich pań.

Wiele wody od tego czasu upłynęło i wiele się zmieniło w naszych zwyczajach. Pozostało nam duże spożycie wody kolońskiej, która, niestety, z roku na rok coraz to się staje droższa.

Wypadkowo, szperając po szufladkach dziadowskiego biurka (jedyne mebla, jaki mi na pamiątkę dawnych, lepszych czasów pozostał), znalazłam cieniuchną, zażółkłą i zmiętą kartkę z tajemniczym przepisem. Po dokładnem wczytaniu się w zblakłe litery — co się nie obeszło bez użycia szkła powiększającego — okazało się, że to jest właśnie przepis na wodę kolońską.

Czasy dzisiejsze są tak wyjątkowo ciężkie, że gwoli niedużym nawet oszczędności, niejedna z nas zaczyna w domu fabrykować rozmaite specyfiki.

Trociczek i octu toaletowego już nie używamy. Zastąpiły je duże lufciki i całą zimę otwierane balkony. Natomiast wody kolońskiej używamy stanowczo znacznie więcej, niż nasze babki, szczególnie latem, kiedy wytarcie całego ciała tą wodą działa tak orzeźwiająco.

Więc podam tutaj ten oryginalny przepis. Może komu się przyda i chociaż narazie spowoduje większy wydatek, w sumie jednak i przez czas dłuższy da dużą oszczędność.

Miary i wagi zmieniłam, oczywiście, na obecnie używane.

- 3 litry spirytusu;
- 15 gr. olejku lawendowego;
- 12 gr. olejku pomarańczowego;
- 5 gr. olejku geranjowego;
- 15 gr. olejku bergamotowego;
- 5 gr. olejku cytrynowego;
- $\frac{3}{4}$ litra wody różanej.

Olejki należy dobrze rozpuścić w niedużej ilości spirytusu, przyczem spirytus stanie się mętny. Trzeba dać się odstać przez dni kilka, aż się sklaruje. Dwie krople kwasu octowego przyspieszą to klarowanie. Można też cały płyn, już połączony, przefiltrować przez bibułę.

Nie mam pojęcia, jak te cztery litry wody kolońskiej drogo wypadną, sądzą jednak, że znacznie, znacznie taniej, niż kupno tak poważnej ilości tej wody.

Szczerze się przyznaję, że przepis ten nietylko nie jest wypróbowany, lecz że nawet próbować go nie mam zamiaru — powód: brak czasu. Sądzą jednak, że nie jedna amatorka dużej ilości wody kolońskiej zechce go wypróbować i napisze do „Bluszczu“, jak się jej taka próba udała.

Pani Elżbieta.

W buduarze
wytwornej Pani znajduje się zawsze

Damosan

antyseptyczna, aromatyczna esencja
do mycia i płukania dyskretnych.
Urząd Patent. Nr. 6861
Oryginalne tylko z firmą

Henryk Zak - Poznań

619

OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(na 5 osób)

Kaszka manna z koperkiem.

Kielbasa smażona z kiszoną kapustą.

Gruszki w śmietanie.

Dwa litry wody zagotować, na wrzącą sypać szklanke bujnej kaszki manny (grysiu). Gotować, wciąż mieszając, pięć minut, poczem rondelkę przykryć pokrywą i odstawić na brzeg blachy, aby kaszka doskonale wybrzękla. Przed podaniem osolić do smaku, wsypać sporą garstkę zielonego koperku (świeżego lub suszonego), dobrze wymieszać. Nalewając kaszkę na talerze, na każdym kłaść kawałek dobrego, świeżego masła wielkości włoskiego orzecha.

Siedemdziesiąt pięć deka kielbasy wrzucić na chwilę do gorącej wody, natychmiast osączyć i smażyć na słonince z dużą ilością pokrajanej w plasterki cebuli. Gdy kielbasa i cebula ładnie się zrumienią, pokrajać kielbasę na ukośne kawałki (pięć dużych lub dziesięć mniejszych), połączyć słoninką, pokryć smażoną cebulą i podać w płaskim rondelku lub na salaterce z pokrywą. Na godzinę przed obiadem kilo dobrej, kiszonej kapusty posypać łyżką cukru, skropić dwiema łyżkami oliwy. Przed podaniem do kielbasy kilka razy wymieszać.

Kto lubi do kielbasy kartofle, może ugotować kilo obranych kartofli, gorące przepuścić przez maszynkę, obok tych kartofli ułożyć kawałki kielbasy, kartofle połączyć słoninką z cebulą.

Pięć bardzo dużych, lub dziesięć mniejszych gruszek obrać, przekroić na połówki, odrzucić ziarnka i komory nasienne. Złożyć do rondelka, posypać pół filiżanką cukru, dodać ze dwa goździki, zalać filiżanką wody i dusić wolno, aż zmiękną, a sos prawie zupełnie się wydusi. Płaski rondelkę wysmarować masłem, ułożyć w nim gruszki, zalać półkwatkiem śmietany, posypać łyżką cukru i wstawić w gorący piec, aby się po wierzchu zrumieniły.

Pani Elżbieta.



KARCZOCHY NADZIEWANE.

Duże karczochy, o grubych denkach, oczyścić, przyciąć kolce, nawpół obgotować w osolonym wrzątku. Oстрыm nożem usunąć ze środków kwiat. Usiekać kawałek pieczeni cielęcej z wędzoną słoninką, podsmażonymi w maśle, drobno usiekaniem pieczarkami i utartą na tarce cebulką. Napęlnić tym farszem środki karczochów, przykryć farsz cienkim plątkiem słoninki. Karczochy ustawić jeden obok drugiego w niewysokim, ładnym, rondlu, z którym je można podać do stołu. Pod spód podłożyć sporo masła, zalać dobrym rosółem popołowie z białym winem, aby prawie objęło karczochy. Dusić na wolnym ogniu, aż płyn się do połowy wydusi. Przed podaniem wcisnąć do uformowanego sosu sok z pół cytryny. Można też tak uduszone karczochy przełożyć na półmisek i obłożyć wokół przysmażonymi grzankami lub krutonikami z francuskiego ciasta. Sos, precedzony przez gęste sitko, podać oddzielnie w sosjerce.

RZEŻBA W GRANICIE, DRZEWIE i rysunek w pracowni prywatnej
ROMUALDA ZERYCHA Od 15 października zgłoszenia: Senatorska 18 od 10 do 12 codziennie. Tel 893-03, od 1—3 godz

PLACKI Z WĄTROBY.

Oszczędnościowa, bardzo pożywna potrawa, z czasów wielkiej wojny światowej, która, w dzisiejszych czasach przymusowej oszczędności, dobrze będzie przypomnieć. Pięćdziesiąt deka młodej wątroby wołowej utrzeć na tarce, lub przepuścić przez maszynkę. Dodać dwadzieścia deka mąki pszennej, jedno duże lub dwa małe jajka, trochę koperku lub majeranku, osolić, doskonale wyrobić masę. Smalec lub topioną słoninę mocno rozgrzać na patelni. Kłaść łyżką duże, cienkie placki (jak racuchy kartoflane). Smażyć na obie strony na rumiano. Podać do jakiejkolwiek jarzynki: marchwi, brukwi, purée kartoflane.

PIECZEŃ CIEŁĘCA SMAŻONA.

Kilowy kawałek cielęciny bez kości dobrze wybić i nadać jej kształt ogromnego sznycla, grubego na sześć centymetrów. Utarzać cielęcinę w mące, następnie w rozbitym jajku, następnie w tartej bułeczce i natychmiast położyć na patelnię z dużą ilością rozgrzanego smalcu. Smażyć, aż się z obu stron ładnie zrumieni. Dopiero usmażoną osolić bardzo drobną solą. Wsunąć z patelnią do pieca na minut kilka lub kilkanaście, aby pieczeń doszła we środku. Podając, pokrajać na cienkie plastry i podać z przysmażonymi kartofelkami i ćwiartkami cytryny. Powierzchnia takiej pieczeni powinna być chrupiąca. Można, wsadzając do pieca, posypać ją jakim ostrym serem.

SZARLOTKA ZE ŚLIWEK.

Kilo śliwek-węgerek wydrylować i podzielić na połówki. Półkilowy, długi chlebek pszenny otrzeć tarką ze skórki, pokrajać na cienkie grzanki. Foremkę ogniotrwałą wysmarować grubo masłem. Dwie szklanki mleka rozbić z dwoma jajami i łyżką cukru. Maczać w tem grzanki. Wyłożyć dno i boki foremki. Śliwki zmieszać z filiżanką cukru, utłuczonego z cynamonem, lub też dodać do nich dla zapachu kilka ziarenek z roz-tłuczonych śliwkowych pestek. Napęlnić temi śliwkami foremkę, pokryć resztą grzanek, maczanych w mleku z jajkiem. Na wierzchu położyć kilka kawałeczków masła i wstawić w średnio gorący piec na godzinę i kwadrans. Przed podaniem wyłożyć szarlotkę na półmisek i posypać suto cukrem-pudrem.

LEGUMINKA JABŁECZNA W CZARNYM CHLEBIE.

Czterdzieści deka czerstwego, czarnego, razowego chleba utrzeć na tarce. Sześćdziesiąt deka dobrych kwaskowych jabłek: antonówek, renet, sztetynów i t. p. pokrajać bardzo drobno, nie-odrzucając skórek, lecz wyjmując z nich komory nasienne i ziarnka. Foremkę ogniotrwałą wysmarować grubo masłem. Nasypać w nią warstwę tartego chleba, na to warstwę jabłek. Jabłka posypać obficie cukrem i połączyć łyżką miodu. Znowu warstwa chleba, jabłek i cukru z miodem, aż wszystko wyjdzie. Ostatnia

Najpiękniejsze arcydzieło sławnego malarza można popsuć przez nieodpowiednią oprawę — wdzięk najpiękniejszej kobiety może się rozwiać przez zaniedbane włosy. Lśniący połysk, elastyczność i świeżość włosów ożywiają wygląd Pani a regularna pielęgnacja zapomocą szamponu CZARNOGŁÓWKA-EXTRA zapewnia Pani świetny wygląd.

Do każdej torebki szamponu CZARNOGŁÓWKA-EXTRA dołączony jest proszek „POLYSK DLA WŁOSÓW”, który odświeży i uzdrowi włos Pani.

warstwa powinna być z chleba. Pokryć leguminę małymi kawałkami masła i wstawić w piec na dobrą godzinę. Podawać do stołu z foremką. Do tej leguminki podaje się zimne mleko lub śmietankę.

TORCIK Z LASKOWYCH ORZECHÓW.

Dwadzieścia deka już wyłuskanych laskowych orzechów zemleć w maszynce do migdałów. Sześć żółtek utrzeć do białości z dwudziestoma deka cukru-pudru. Białka ubić na sztywną pianę. Przygotować osiemnaście deka przesianej, najlepszej mąki pszennej. Naprzód wsypać do utartych jaj orzechy i ucierać jeszcze razem, następnie, jakby pudrując, dodawać mąkę, nakoniec ostrożnie wymięszać białka. Przełożyć do tortownicy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Upiec w miernie gorącym piecu. Nazajutrz utłuc piętnaście deka cukru-pudru z dwiema (do trzech) łyżkami wody, dodać łyżeczkę cytrynowego soku i tyleż rumu, ucierać, aż masa będzie zupełnie gładka. Posmarować nią tort i obsuszyć w piecu. Ubrać po wierzchu kilkunastu najładniejszymi orzechami. *Pani Elżbieta.*

należy kupować w aptece w niewielkiej ilości, ażeby był zawsze świeży. Lepiej jednak zamiast oliwy stosować jakiś krem, chociażby o następującym składzie: olejku lawandowego 0,1 gr., kwasu fenyloвого 0,05 gr., ichtjolu 0,5 gr., olejku gomenolowego i wazeliny po 1,0 gr., lanoliny 2,0 gr., mazidla wapiennego 6,0 gr., węglanu magnezji i węglanu wapnia ilość niezbędną dla otrzymania kremu o półtwardej konsystencji.

Zakopiance. — O ochudzaniu pisałam swego czasu kilka artykułów, to też będzie najlepiej, gdy Pani je przejrzy. Znajdzie w nich Pani dość wyczerpujące informacje; jeżeliby jednak po przeczytaniu pozostały pewne pytania niewyjaśnione, proszę napisać do Redakcji, a postaram się ściślej sprawę wyjaśnić. O otyłości pisałam w Nr. 16, 20, 24 i 26 „Bluszczu“.

P. K. Z. w Krakowie. Ażeby utrzymać ładny kolor szatyńki, niech Pani myje włosy w wywarze herbaty. Ze wszystkich sposobów, powyższy, podany przez D-ra Monin, wydaje mi się najlepszy. *Dr. Z. R...wska.*

KORESPONDENCJE

P. Halce z Lublina. Jeżeli chodzi Pani o skórę suchą, to oczywiście tłusty krem może być zastąpiony oliwą, jednakże najodpowiedniejszy będzie olejek ze słodkich migdałów, który

Gabinet Lecznico-Kosmetyczny
Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Krucza 31, telefon 8-92-77.
Czynny od 10 rano do 7 wiecz.
DZIAŁY: chirurgiczny, kobiecy,
skórny, kosmetyczny, kolorowanie
włosów. Porady dla panów.

PREMJE KSIĄŻKOWE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

Na drugie półrocze zakupiliśmy dla naszych Czytelniczek sześć wartościowych i ciekawych książek z zakresu beletrystyki, estetycznie wydanych na wykwintnym papierze, a mianowicie:

na miesiąc

lipiec — *Karin Michaelis:* „GUNHILD“
sierpień — *Karin Michaelis:* „PIERWSZA MIŁOŚĆ GUNHILDY“
wrzesień — *Donn Byrne:* „OPowieść BEZ NAZWY“
październik — *André Maurois:* „KLIMATY“
listopad — *Piotr Benoit:* „AKSELA“
grudzień — *Zuzanna Normand:* „GALERNICZKI“

Książki te po wyjątkowo niskiej cenie będą przesyłane tylko prenumeratorkom „Bluszczu“ po uiszczeniu przez nie osobiście, przekazem pocztowym, lub na konto P.K.O. Nr. 3.700 dodatkowo do ustalonej poprzednio prenumeraty, jeszcze kwoty 2 zł. miesięcznie.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9. — Tel. 259-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcz“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 9-64-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“, Rymarska 8, tel. 11-74-18.



Srodek tak wspaniale uśmierzający bóle, jest często przedmiotem podrabiania. Dlatego też przy bólu głowy i zębów, przeziębieniu, reumatyzmie, należy przyjmować tylko tabletki, które jak i opakowanie opatrzone są znakiem BAYER.

ISTNIEJE TYLKO JEDNA ASPIRINA!

615

**WYSZŁA
Z DRUKU
NOWOŚĆ:**

POTRAWY Z KASZ I MĄKI

W OPRACOWANIU
P. ELŻBIETY

Cena 1 zł. 50 gr.,
z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

WYD. „ŻYCIE PRAKTYCZNE“
Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Książka Dr. Julji Świtalskiej KOBIETA NOWOCZESNA

poradnik dla młodych mężatek

w sposób rozumny i pełen doświadczenia życiowego ujmuje wszystkie okresy życia kobiecego, od dzieciństwa aż do starości. Książka ta, ze względu na aktualność i nowoczesność myśli, jest jedyną w swoim rodzaju i powinna się znaleźć w rękach każdej mężatki.

Cena 6 zł., z polec. przes. poczt. 7 zł.

Wysła Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9
po otrzymaniu należności na konto P.K.O. Nr. 13.555, lub prze-
kazem pocztowym. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Miłośniczkom kaktusów

polecamy zeszyt
wydawnictwa
ŻYCIE PRAKTYCZNE

p. t.

HODOWLA KAKTUSÓW

zawierający wskazówki
umiejętnego pielęgnowania
tych egzotycznych roślin.

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ — Warszawa
Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. Nr. 13.555.

Matki! Chroncie dzieci

przed zarażeniem się,
przeziębieniem, anginą,
bólami gardła



z pomocą
Panflaviny
w PASTYLKACH.
Do nabycia we wszystkich aptekach.

616

Doboru potraw
obrych wskazówek
okładnych przepisów
ostarczy każdej pani

OSKONAŁA KUCHNIA

najnowsza książka kucharska

(szóste przerobione i uzupełnione wydanie
„Kucharki szlacheckiej“)

M. MARCISZEWSKIEJ

Zawiera 3000 przepisów, od skromnych do najwykwintniejszych, może więc zadowolnić każdego.

Wytworne wydanie! Dobór ilustracji!
1000 stron druku!

Cena z przesyłką 14 zł.

Wysła Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Pl. Zamkowy 9
po otrzymaniu należności. Konto P.K.O. Nr. 13.555.



*Matki, dbające
o higienę dzieci, używają*

**MYDŁO I
PUDER „DLA DZIECI”**

WYROBU LABOR. CHEM. FARM. APTEKI

M. MALINOWSKIEGO

ul Chmielna 4, w WARSZAWIE, ul Nowy Świat 31.

541

M. M I R G A Ł O W S K A

**PODRĘCZNIK KROJU
BIELIZNY DAMSKIEJ,
MĘSKIEJ I DZIECIENNEJ**

Każdą dobrą go-
spodynię zaintere-
suje z pewnością
bardzo aktualna
książka

p. t.

Zbiór i przechowa- nie owoców i warzyw

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

**Wyd. „Życie
Praktyczne“**

Tow. Wyd. „BLUSZCZ“

Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P.K.O. 13.555.

Podręcznik niniejszy (jedyne w handlu księgar-
skim) czyni zadość wymaganiom najnowszej mody,
dając wszelkie podstawy do nauki kroju. Jest on
przeznaczony dla wszystkich pań, zarówno nieszy-
jących wcale, jak szyjących amatorsko, a także dla
wykwalifikowanych specjalistek. Te ostatnie posłu-
żą się nim w celach pedagogicznych i przekażą mło-
dym, praktykującym siłom przystępnie i jasno wy-
łożone zasady nauki kroju.

Stąd wynika wszechstronne zastosowanie tego pod-
ręcznika: w domu każda z pań po przestudjowaniu
go może zdobyć wszechstronną znajomość obcego
sobie jeszcze fachu, bądź też sprawdzić i ugrunto-
wać wiadomości, nabyte drogą wrodzonej zręczno-
ści i intuicji, lub przygodnie pochwytanych wska-
zówek.

Na kursach, w szkołach zawodowych, a także śred-
nich i powszechnych, panie, wykładające krój, zdo-
będą znaczną pomoc w tej pracy; łączącej pogłę-
bienie fachowe z umiejętnością popularyzowania
tej dziedziny wiedzy, która od najdawniejszych cza-
sów, poprzez wszelkie ewolucje socjalne, jest naj-
ściślej związana z życiem kobiety.

Cena 8 zł.

Z przesyłką pocztową 8 zł. 50 gr.

TOW. WYD. „BLUSZCZ“

Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P.K.O. 13.555.